CZWARTEK
Nr 27 88-03-03 Cena 25 zł

ŚWIAT MŁODYCH

HARCERSKA GAZETA NASTOLATKÓW

ENERGIA Z WULKANU

(PAP). Wulkan Mutnowska Sopka, położony 65 km na północ od Pietropawłowska na Kamczatce w ZSRR, zostanie wykorzystany dla potrzeb energetyki. Jak wykazały badania, we wnętrzu wulkanu na głębokości od 500 do 2000 m występują wody o temperaturze 230–270 st.C. Ta geotermalna energia może być wykorzystana do ogrzewania oraz wytwarzania elektryczności. Rozpoczęto już budowę pierwszych ujęć pary wodnej, która poruszać będzie turbiny elektrowni.

Zasoby energii cieplnej w tym wulkanie są tak duże, że wystarczą na potrzeby całej południowej Kamczatki. Obecnie elektrownie na Kamczatce pracują na paliwie dowożonym drogą morską z Władywostoku. Wykorzystanie zasobów geotermalnych obniży znacznie koszt uzyskiwania energii, przyczyni się także do ochrony środowiska poprzez eliminację emisji spalin.

Dziwadło nie śpiewa w chórze

— estońskie spotkania po raz czwarty — str. 4

BETON Z DODATKIEM PYŁU KSIĘŻYCOWEGO

(PAP). Co będzie, jeśli do procesu wytwarzania betonu dodać garść pyłu księżycowego — takie pytanie nurtowało naukowców z Centrum Pilotowanych Lotów Kosmicznych im. Johna Kennedy'ego znajdującego się w Houston, w stanie Teksas. Znajduje się tam wszystko, co astronauci amerykańscy osobiście przywieźli z Księżyca. W końcu naukowcy spróbowali praktycznie wykorzystać księżycowe kamienie, a uzyskane wyniki przeszły wszelkie oczekiwania. Otóż „beton kosmiczny" okazał się dwa razy twardszy od najlepszych betonów, jakie dotychczas udało się wyprodukować na naszym globie!

Naukowcy amerykańscy mieli więc kolejną okazję do długotrwałych badań. Ostatecznie doszli do wniosku, że beton uzyskany z domieszką pyłu księżycowego dlatego jest tak twardy, gdyż w jego skład nie wchodzą najdrobniejsze nawet cząstki organiczne, co ma miejsce przy wytwarzaniu betonu w warunkach ziemskich.

CHLEB — którego się nie piecze

Przyzwyczailiśmy się do naszych twardych chlebów wypiekanych z pszennej lub pszenno-żytniej mąki. Tymczasem co kraj to obyczaj. Na przykład chleb kanadyjski — tak biały jak i ciemny — przypomina watę, taki jest delikatniutki.

Ale nikomu z nas przez myśl by nie przeszło, że można chleb sporządzić z ryżu. Sporządzić, ponieważ się go nie piecze, a paruje. Ryżowy chleb jest tradycyjną potrawą koreańską i nie do pomyślenia, aby go zabrakło na świątecznym stole.

Pierwszym niezbędnym warunkiem, aby potrawa się udała, jest odpowiedni gatunek ryżu tzw. kleistego. Ryż oczyszczony i wymyty zalewa się na 5–6 godzin wodą aby spęczniał, a następnie paruje się go nad parą wodną w specjalnym naczyniu z ceramiki o dziurkowanym dnie. Kiedy ziarna są miękkie, zalewa się je słoną wodą i wykłada na stolnicę. I tu — praca dla silnych (fot. 1). Tłucze się je drewnianymi puckami tak długo aż zamienią się w ciasto. Można ten chleb ryżowy podać z miodem lub podsmażyć na oleju (fot. 2). Jest to doskonała potrawa dietetyczna dla chorych na żołądek. Można też nadziać go dodatkami np. prażonymi z solą i tłuczonymi ziarnami soi, grochem czy też fasolą, ale wtedy podaje się go w formie placuszków (fot. 3). Chleb ryżowy jest również w sprzedaży w sklepach, ale gdzie mu tam do tego robionego w domu. Przecież każda gospodyni posiada swoje sekrety, dzięki którym jej chleb ma zupełnie swoisty smak...

Opr.
WIESŁAWA MROCZEK

Japończycy w piramidzie Cheopsa

(PAP). Japońska ekspedycja archeologiczna, która w ubiegłym roku prowadziła badania piramidy Cheopsa, wznowiła prace na płaskowyżu Gizy, w pobliżu stolicy egipskiej. Naukowcy japońscy kontynuują poszukiwania tajnych komnat w wielkiej piramidzie. Tym razem ekspedycja przywiozła doskonalszą aparaturę elektromagnetyczną, która umożliwi zajrzenie jeszcze głębiej w kamienne wnętrze. Głównym celem nowej ekspedycji nie jest poszukiwanie legendarnych skarbów faraonów, lecz szczegółowe zbadanie architektonicznych osobliwości budowy piramidy. Będzie to bardzo przydatne w pracach restauracyjnych wewnątrz tej gigantycznej budowli.

W trakcie pierwszego etapu prac przed pół rokiem naukowcy japońscy wykryli w piramidzie Cheopsa nie znane dotychczas puste miejsca, które mogą okazać się skrytkami. Jedno z takich pomieszczeń znajduje się za północno-zachodnią ścianą „grobu królowej", inne znaleziono obok korytarza prowadzącego do tego grobowca.

CO DALEJ ÓSMA KLASO

21-47-06

Warszawa

- **ZAPAMIĘTAJ TEN NUMER TELEFONU**
- **PRZEKAŻ GO INNYM**

Przypominamy! **W każdy wtorek i czwartek, od 1 do 31 marca br.** przy redakcyjnym telefonie w godz. **15.30 — 17.30** dyżuruje psycholog z poradni wychowawczo-zawodowej.

- Jeśli nie wiesz jaki wybrać zawód
- Jeśli nie znalazłeś dotąd interesującej Cię szkoły
- Jeśli chcesz poznać warunki nauki, wymagania egzaminacyjne

Zadzwoń do nas!

Telefoniczna poradnia zawodowa „Świata Młodych" jest do Twojej dyspozycji!

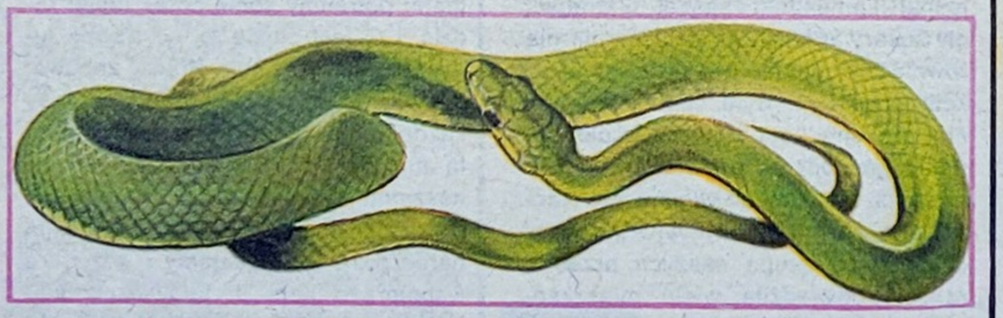

Oblężeni przez... węże

(PAP). W oblężeniu znaleźli się mieszkańcy wioski Wakwa, na północy Kamerunu. Gromady jadowitych węży zajęły pola rolników i zamieszkały w porzuconych zabudowaniach. Przestraszeni wieśniacy nie opuszczali domów. Z pomocą oblężonym mieszkańcom przyszedł wiejski czarownik.

Sporządził on specyfik z ziół, który rozsypany wokół domów zabijał każdego gada, który próbował się tamtędy prześlizgnąć.

JASKINIA W... STUDNI

Stara studnia, która niejedno dziesięciolecie sumiennie dostarczała wody mieszkańcom mołdawskiej wsi Kriwa, nagle wyschła. Przyczynę pomogli ustalić speleolodzy.

Członkowie Czernowickiego Klubu Speleologicznego, opuściwszy się do studni na głębokość dwudziestu metrów stwierdzili, że źródło istnieje nadal, jednak jego woda rozmyła ścianę studni i znika w powstałym otworze. W ten sposób odkryto ogromną jaskinię krasową. Jak dotąd udało się przejść tylko dwieście metrów jej kamiennych labiryntów.

Specjaliści uważają, że odnaleziono jedno z odgałęzień największej jaskini świata — „Kopciuszek", która początek swój bierze w sąsiedniej wsi Podwornoje.

RAKIETKI ZE „SPOIWA"

Sukcesy naszych tenisistów stołowych — Andrzeja Grubby i Leszka Kucharskiego sprawiły, że ping–pong stał się w naszym kraju szalenie popularny. Na przeszkodzie w jego rozwoju stoi jednak brak odpowiedniej ilości tenisowych stołów oraz niedrogich rakietek.

Może jednak coś się zmieni, bo Spółdzielnia Chemiczna „Spoiwo" z Radomia rozpoczęła pod koniec ubiegłego roku produkcję nowego typu rakietek. Dobrej jakości sprzęt nie ma zbyt wygórowanej ceny: 600 i 800 złotych za sztukę.

Fot. **M. Włodarski**

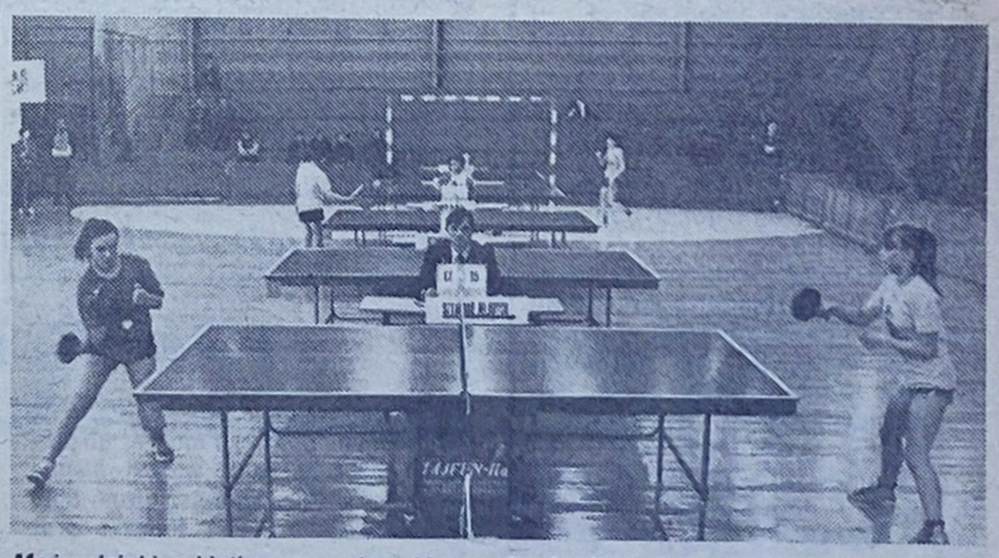

Może dzięki rakietkom z radomskiego „Spoiwa" doczekamy się następców naszych asów...

GŁÓD

Ciemna, wąska uliczka. Po prawej mur. Po lewej kamienica. Dreszcz strachu przelatuje po plecach, kiedy widzę skłaniające się nad murem czarne gałęzie. Wichura, jak z horroru. Nad wejściem małe światełko, ledwie widać napis: *Zakład Wychowawczy Caritas*.

— Tędy, tym korytarzem. Tu będziecie mogli się przebrać — siostra w czarnym habicie wskazuje oszklone drzwi. Mrużę oczy od światła. Co za szalony kontrast tego blasku z ponurą częstochowską uliczką! A tu jest przytulnie. Nie wiem, czy sprawia to uśmiech i łagodny głos zakonnicy, czy dobiegający z góry dziecięcy śmiech. Pochylona nad balustradą schodów mała dziewczynka przypatruje się nam ciekawie. Przebieramy się możliwie szybko, bo widzowie już czekają.

Tupot nóg, szuranie krzeseł, przyciszone rozmowy. Gitara, prędko!

Mała sala wypełniona po brzegi dziećmi. Same dziewczynki w wieku od 4 do 13 lat. Niektóre wyróżniają się spośród innych. Wzrok wbity w punkt, twarz bez wyrazu, nieskoordynowane ruchy, czasem kiwanie się do przodu i do tyłu w wewnętrznym rytmie.

Nasz program jest raczej banalny. Przygotowaliśmy to, co znane i lubiane. A zatem jest tu i „Skarżypyta" i „Samochwała" i wiersz o Grzesiu — kłamczuchu. Piosenki znane z telewizyjnych filmów: „Pszczółka Maja", „Sindbad". Przy nich dziewczynki bawią się najlepiej, same nawet próbują śpiewać. Aktorzy są uszczęśliwieni, nagradzani oklaskami i co ważniejsze, częstymi wybuchami śmiechu.

Ale mimo panującej wesołości, w oczach naszych widzów wciąż to samo, coś, czego nie da się zatuszować: głód. Głód ciepła i miłości. Mimo starań sióstr w czarnych habitach, mimo troskliwości, czułości, serdeczności, jaką widać tu na każdym kroku.

Oklaski. Przebieramy się w cywilne ubrania, kiedy cichutko wchodzi do pokoiku drobna zakonnica.

— Dzieci bardzo chciały pobawić się z wami. Przygotowały nawet magnetofon...

Wychodzących, początkowo nieśmiało, potem pewniej, otacza gromada dzieci. Bawmy się! Najpierw poczciwy „stary niedźwiedź".

— Proszę, proszę się częstować! — siostry rozdają pierniki w czekoladzie.

Robimy kółeczko i wciągamy do zabawy wszystkie dziewczynki. Przyglądam się z góry mojej towarzyszce. Ma około sześciu lat: śliczna brunetka o śniadej cerze, ubrana w biało-czarną sukieneczkę. Kurczowo trzyma w ręku gumową zabawkę — Muminka.

— Jak masz na imię? — pytam, pochylając się. Brak odpowiedzi. Oczy dziewczynki patrzą w nieznany punkt gdzieś poza mną. Ściska tylko mocniej moją dłoń.

— Stary niedźwiedź mocno śpi...

„Jakież to drobinki!" — myślę, przypatrując się pozostałym dziewczynkom. Tak chciałoby się wszystkie przytulić, pogłaskać, porozmawiać... Spoglądam na zegarek. Ostatni autobus! Muszę przecież zdążyć! Mrugam do Ulki i cicho wychodzimy z sali. Odwracam się i łapię wzrok „mojej" brunetki w czarno-białej sukience. I znów ten wyraz głodu, który mi nie daje spokoju.

— Dobrej nocy! — mówię cicho, wychodząc. Na więcej mnie nie stać. Ula żegna się wylewnie z siostrami, wymieniając z nimi jakieś uwagi. I znów ta koszmarna, zabłocona uliczka. Niczym z opisu Żeromskiego. Chłopcy, którzy ofiarowali się odprowadzić nas na przystanek, mówią coś bez przerwy. A mnie plącze się po głowie jakaś myśl, jeszcze nie postanowienie, ale już prawie: „Zastęp, mój zastęp. Na pewno wrócimy! Musimy!" „I z czego się tak cieszysz?" — patrzę z niechęcią na zadowoloną Ulkę. Chłopcy wracają, a Urszula niemal krzyczy:

— Nasz autobus! Nie widzisz?! Wsiadamy!

Podnoszę głowę, łapię wyraz jej oczu i już wiem. Ona też trzymała za rękę którąś z tych dziewczynek i ona też w tej chwili myśli o tym samym.

Kasia Morawiec
korespondentka HSI „ŚM"
Częstochowa

Główna Kwatera
Związku
Harcerstwa
Polskiego
ogłasza

KONKURS

„HARCERSKA SŁUŻBA POLSCE 1948–1949 WE WSPOMNIENIACH I NA FOTOGRAFII"

Celem konkursu jest zebranie materiałów fotograficznych i ikonograficznych pokazujących przebieg i efekty realizowanego na terenie całego kraju w latach 1948–1949 programu **HARCERSKIEJ SŁUŻBY POLSCE.**

Przewiduje się ocenę w dwóch kategoriach:

- I — **wspomnienia organizatorów i uczestników akcji**
- II — **najciekawsze fotografie, zestawy zdjęć, albumy fotograficzne z tamtych lat.**

Organizatorzy przewidują przyznanie następujących nagród:

— w kategorii wspomnień: I — 25 000 zł, II — 15 000 zł, III — 10 000 zł oraz pięć wyróżnień po 5 000 zł

— w kategorii fotografii: I — 10 000 zł, II — 7 000 zł, III — 5 000 zł oraz pięć wyróżnień — nagrody książkowe.

Jury zastrzega sobie prawo innego podziału nagród.

Organizatorzy nie ograniczają objętości prac ani ilości nadsyłanych fotografii.

Termin nadsyłania prac, nadawanych przesyłkami poleconymi, upływa 30 kwietnia 1988 r. Prosimy przesyłać je pod adresem: Główna Kwatera ZHP, ul. M. Konopnickiej 6, 00–491 Warszawa, z dopiskiem: **„HSP 1948–1949".**

Organizatorzy zobowiązują się do zwrotu nadesłanych na konkurs fotografii.

Ogłoszenie wyników konkursu — w maju br.

Moja drużyna

Coś, co trzyma i przyciąga przyjaciół

Przed rokiem, tak jak i dziś, zasiadłam przy biurku, by opisać w wielkim skrócie dzieje swojej 15 Drużyny Harcerskiej im. Orląt Piastowskich we Włosieniu. Wtedy liczyła zaledwie 20 osób. Teraz liczba harcerzy przekracza 50, powstały nowe zastępy. Zastęp „Rudy", do którego również ja należę, składa się z uczniów różnych szkół ponadpodstawowych (LO, LE, ZSZ, ZNTK). Bo w tej drużynie jest coś, co trzyma nie tylko uczniów podstawówki, ale i tych, którzy ją ukończyli. I mimo zwiększonych obowiązków, dojazdów do szkół znajdują czas na pracę w drużynie. I o tym właśnie chcę napisać.

Od samego początku powstania 15 DH wzięliśmy się ostro do pracy. Aby zarobić parę groszy zbieraliśmy, i nadal to robimy, butelki i makulaturę. Rafał i Darek są u nas szefami od zbiórki surowców wtórnych. Zajmujemy się również produkcją kopert, która przynosi zupełnie przyzwoity zysk. Nasza fabryka nosi nazwę „Harckop".

A teraz trochę z kronikarskich zapisków. Byliśmy na rajdzie rowerowym Szlakiem Oręża Polskiego. Niezapomniane wrażenia pozostawił nam też biwak w Kamieniu, który był treningiem przed czekającym nas obozem wędrownym po Warmii i Mazurach.

W lipcu, na stacji PKP, po słowach naszego drużynowego: *„Uwaga! Ze wszystkich stacji ogłaszam odjazd w stronę wakacji!"* ruszyliśmy na trzytygodniowy obóz wędrowny. Najpierw pojechaliśmy do Warszawy, gdzie m. in. zwiedziliśmy Zamek Królewski, Pałac Kultury, Łazienki. Odwiedziliśmy też Główną Kwaterę. Przy okrągłym stole rozmawialiśmy z dh. Elżbietą Dobosz i dh. Andrzejem Ziniewiczem. Dzięki pomocy dh. Andrzeja udało nam się podglądnąć pracę Rozgłośni Harcerskiej, a nawet przekazać za jej pośrednictwem pozdrowienia dla rodziców, koleżanek i kolegów, którzy pozostali w domu. Poprzez Braniewo, Frombork i Malbork dotarliśmy do Gdańska, gdzie skończył się nasz obóz wędrowny. Podczas gdy 20 harcerzy wędrowało po kraju, pozostali byli organizatorami NAL. Z pomocą rodziców przygotowywali różnego rodzaju imprezy dla okolicznej dzieciarni. I robili to bardzo dobrze, czego dowodem było zaproszenie zastępu „Krasnali" z Włosienia na ogólnopolski biwak najlepszych zastępów NAL w Załęczu. I znów harcerze wrócili pełni wrażeń, a co najważniejsze z nowymi pomysłami do pracy.

Od września realizujemy zadanie pod nazwą „Oni byli tu pierwsi". Wypełniamy ankiety i przeprowadzamy wywiady z kombatantami II wojny światowej.

Największym jednak przeżyciem była harcerska wigilia, na którą przyjechał komendant naszej chorągwi, dh Cezary Wiklik. Zaprosiliśmy na nią również kombatantów oraz panie z koła gospodyń. Była choinka, a pod nią prezenty, był barszcz i pierogi. Panie gospodynie opowiadały nam o dawnych zwyczajach wigilijnych, śpiewaliśmy razem kolędy. A w pierwszy dzień świąt grupa naszych przebierańców odwiedziła wielu mieszkańców wsi. Przede wszystkim zaś tych starszych i samotnych, składając im życzenia świąteczne.

Mieszkamy w niewielkiej wiosce, w której zupełnie nie ma rozrywek dla dzieci i młodzieży. Ostatnio więc sami zorganizowaliśmy zabawę karnawałową, w czym pomógł nam Gminny Ośrodek Kultury, a także niezawodni rodzice. Dochody z różnego rodzaju imprez i akcji rozdzielamy na własne potrzeby i na fundusz solidarnościowy pomocy dzieciom Ameryki Łacińskiej.

Podobnie jak przed rokiem, teraz też chcemy zdobyć tytuł „Współgospodarza". Rok temu był to „Współgospodarz szkoły", obecnie ubiegamy się o miano „Współgospodarza wsi". Mamy duże szanse, by wziąć udział w Zlocie na Polach Grunwaldu i dlatego robimy wszystko, by tę szansę wykorzystać.

Oczywiście, jak w każdej drużynie, u nas też zdarzają się kłopoty i niepowodzenia. Coś nam nie wyjdzie, coś się nie uda — jak w życiu. Ale jesteśmy coraz bardziej zgrani, coraz bardziej ze sobą związani i z problemami potrafimy sobie coraz lepiej radzić. I to jest chyba to, co trzyma ludzi przy tej drużynie. Praca, zabawa, obowiązek, rozrywka, danie szansy każdemu harcerzowi. I za tę wspaniałą atmosferę chciałabym podziękować naszemu druhowi drużynowemu, przybocznym, zastępowym, wszystkim harcerzom. Dziękujemy też za współpracę pani J. Ludwiczak, kierowniczce GOK we Włosieniu, naszym rodzicom, a szczególnie państwu Dudkom i Bieleckim.

A czytelnikom „ŚM" życzę, by znaleźli taką drużynę jak 15 DH, a w niej to „coś", co trzymać będzie i przyciągać przyjaciół.

Jolanta Pawłowicz
15 DH we Włosieniu

Sobotnie spotkania z piosenką i poezją

KURS NA H_2O

Pod tym tajemniczym tytułem kryje się biesiada poetycko-muzyczna jaką 20 lutego br. zorganizowała Komenda Chorągwi w Pile, tamtejszy Klub Międzynarodowy Prasy i Książki oraz Dom Kultury. Zaproszono nań tych wszystkich, którzy mieli ochotę pośpiewać o ... wodzie. A woda, to oceany i morza, rzeki i jeziora, wiatr i białe żagle. Woda to także deszcz, krople rosy i przemoczone buty...

Miesiąc wcześniej w Pile odbyło się podobne spotkanie, tyle że wówczas mówiło się i śpiewało o „wszystkich odcieniach miłości". A więc o uczuciach wiążących ludzi, o miłości do gór, do morza itp.

Co będzie tematem kolejnej biesiady? Jeszcze nie wiemy, ale oczekujemy, że będzie on równie sympatyczny co poprzednie.

REDAKCYJNA POCZTA

Do kogo należy ten pierwszy krok?

Złożyło się tak, że i ja mam pewną sprawę. Chodzę do VIII klasy i mam 14 lat. Ostatnio poznałam chłopaka, który spodobał mi się. A było to tak:

W naszej szkole jest sklepik, gdzie sprzedają jogurt, ciastka, zeszyty itp. Pewnego dnia, jak co dzień, poszłam do sklepiku z moją koleżanką. Tym razem byłyśmy bez pieniędzy. Zaczęłyśmy na ten temat głośno rozmawiać. W pewnej chwili podszedł do mnie chłopiec (właśnie o niego mi chodzi) i spytał co chcemy. Po kilku minutach wrócił z jogurtem. Ja i Kaśka (moja koleżanka) byłyśmy uradowane. Podziękowałyśmy mu i powiedziałam, że forsę oddamy jak będziemy mogły. Odpowiedział, że nie trzeba i gdzieś pobiegł.

Od tamtej pory, gdy przychodzę do szkoły, nasze spojrzenia szybko się odnajdują. Zawsze patrzy na mnie, a po krótkiej chwili uśmiecha się. W tym sęk, że ja bym chciała jakoś odezwać się do niego. Nie wiem tylko w jaki sposób. W zasadzie radzę sobie, ale tym razem to jest mur nie do przebicia. Co robić? A może to do niego należy ten PIERWSZY KROK? Może mam mu dać czas? Nie wiem. Proszę, wydrukujcie mój list, może ten chłopak skojarzy sobie wydarzenie.

Zagubiona NIKI

Mam rodziców, ale jakich?

Drogi „Pasku szczerości"! Mam 12 lat, zielone oczy i brązowe włosy. W szkole idzie mi nieźle; wszyscy mówią mi, że jestem ładna i mam świetne pomysły. Mam przyjaciółkę Agnieszkę, którą bardzo lubię i mam wielu kolegów. Tak jak wiele innych dziewczyn nie mam chłopaka, ale wcale się tym nie martwię, bo przede mną jeszcze 11 lat nauki. Tak jak każde dziecko mam rodziców, ale jakich? Do 12 roku życia wcale się mną nie interesowali. Teraz kiedy zobaczyli, że już jestem na tyle silna i zdolna żeby uszyć, oprać, uprasować i ugotować, to chcą mnie zabrać, żebym bawiła i przewijała siostrę, i gotowała obiady. Proszę, odpowiedzcie mi czy tak można postępować?

Przez całe życie mama mnie nie przytuliła, nie powiedziała miłego słowa... Pewnie zapytacie, kto mnie wychowuje, ubiera i daje jeść. Babcia i dziadek. Od urodzenia, to znaczy od pieluch mnie wychowują.

Monika z Warszawy

Odrzucona

Jestem bardzo załamana, ponieważ zostałam odrzucona przez klasę, a nawet koleżanki. Nie wiem co mam teraz począć, stało się to tak nagle i nie wiem dlaczego?

Koleżanki odzywają się do mnie, ale z niechęcią. W domu też nie mam lekko. Mam dobre warunki, ale rodzice są jacyś dziwni, już nie odzywają się do mnie jak dawniej. Bardzo was proszę, pomóżcie mi.

Załamana

OD REDAKCJI: Skąd takie nagłe odrzucenie i przez klasę, i przez koleżanki, i przez dom? Pojawiło się ni stąd, ni zowąd... Nie podałaś żadnych szczegółów, nic nie napisałaś czy były jakies nieporozumienia? Niesnaski? A może to ty jesteś w złej formie, w złym nastroju? „Załamana", zastanów się nad sobą, nad swoim stosunkiem do klasy, koleżanek i do rodziny. Może winą za odosobnienie niesprawiedliwie obarczasz innych? (bs)

Ćwiczenia z myślenia

NA BLACHĘ — CZY NA ROZUM?

Odwiecznym problemem szkolnym, kłopotem, a nierzadko i dramatem jest konflikt występujący między dwoma, zupełnie różnymi sposobami przyswajania szkolnej wiedzy. Jeden z tych sposobów to tzw. nauczenie się. Delikwent pracujący tą metodą bierze odpowiedni podręcznik, gdzie ma zakreślone „odtąd-dotąd" — i uczy się tego kawałka tekstu prawie na pamięć. Na lekcji odpowiada słowami książki. Ten sposób wciskania różnych wiadomości do głowy ma bardzo wielu zwolenników, i to zarówno pośród uczniów jak i nauczycieli. Nie powoduje zbyt wielu konfliktów, gdyż reguły gry są w nim bardzo proste, a sama nauka odbywa się niemal automatycznie. I jeśli druga strona — uczący — dochowuje warunków niepisanej umowy i pyta tak, aby można było odpowiedzieć cytatami z wykutego tekstu — sprawa jest załatwiana ku zadowoleniu obu stron. Ocenę negatywną dostaje się w tym przypadku za złe opanowanie pamięciowe materiału...

Drugi sposób zdobywania wiedzy jest stosowany w szkolnej praktyce o wiele rzadziej. Wymaga nieco większego wysiłku od wszystkich, przy czym nauczyciel musi na początku wykazać jeszcze szczególnego rodzaju inicjatywę. W skrócie można powiedzieć, iż chodzi o to, aby rozbudzić on w uczniach chęć samodzielnego myślenia, dla którego tekst książkowy stanowi tylko punkt wyjścia. Oczywiście pewne elementy tego tekstu trzeba zapamiętać, ale ma to znaczenie pomocnicze, bowiem głównym celem jest z r o z u m i e n i e tego, o czym się mówi w czasie lekcji.

Ciekawe, że ten drugi sposób uczenia się — mimo iż wydaje się być trudniejszy — jest o wiele bardziej naturalny niż pierwszy. Wszak małe dzieci zanudzają wprost swych rodziców ciągłymi pytaniami, w których słowo „dlaczego" powtarza się chyba najczęściej. Dopiero szkoła oducza ich tego na ogół dość skutecznie, choć co światlejsi pedagodzy od kilku już pokoleń biją w tej sprawie na alarm, a nawet podejmują co jakiś czas próby zmiany tej sytuacji. Działania takie noszą zawsze, nie wiadomo dlaczego, miano „eksperymentu pedagogicznego", choć tak naprawdę to wszyscy wiedzą, że nie jest to żaden eksperyment. Wszak ciekawość świata jest cechą jak najbardziej naturalną, a otrzymywanie odpowiedzi na stawiane pytania najprostszym i najskuteczniejszym sposobem zdobywania wiedzy.

Według takich właśnie zasad działają m.in. od sześciu lat szkoły podstawowe i niektóre przedszkola we włoskiej gminie Scandicci, czy początkowe klasy szkół podstawowych w Grazu, w Austrii. Do programu wprowadzono tam filozofię, etykę, estetykę. Dzieci uczą się logicznego myślenia, starają się samodzielnie formułować wnioski, rozwiązywać sprzeczności, tolerować cudze, niezgodne z własnymi opinie.

Osiągnięte wyniki zaskoczyły nawet samych realizatorów tego „eksperymentu". Okazało się, że wbrew rozpowszechnionemu wśród większości pedagogów poglądowi, chęć do „filozofowania" mają już przedszkolaki. Jeśli im tylko dać trochę czasu na znalezienie się w tej nowej dla nich sytuacji, z zapałem zaczynają dyskutować o problemach powstania wszechświata, o tym czym jest myśl, czy rośliny mogą być szczęśliwe, jak widzi swe otoczenie robot, dlaczego jedno słowo może mieć wiele znaczeń itp.

Przy okazji udowodniono po raz kolejny, że do takich dyskusji przystępuje chętnie — robiąc szybkie postępy — większość przedszkolaków czy uczniów, a nie tylko jednostki obdarzone jakimiś specjalnymi zdolnościami. Bowiem umiejętności myślenia, rozumowania, wyciągania wniosków można się po prostu nauczyć tak jak grania na gitarze, pływania czy prowadzenia samochodu.

Aby coraz więcej takiej nauki było również i w naszych szkołach. Bo jak dotąd to — z maleńkimi wyjątkami — jak Polska długa i szeroka słychać dochodzący zewsząd pracowity łomot. To pilni uczniowie wykuwają na blachę zadane im lekcje...

JUREK

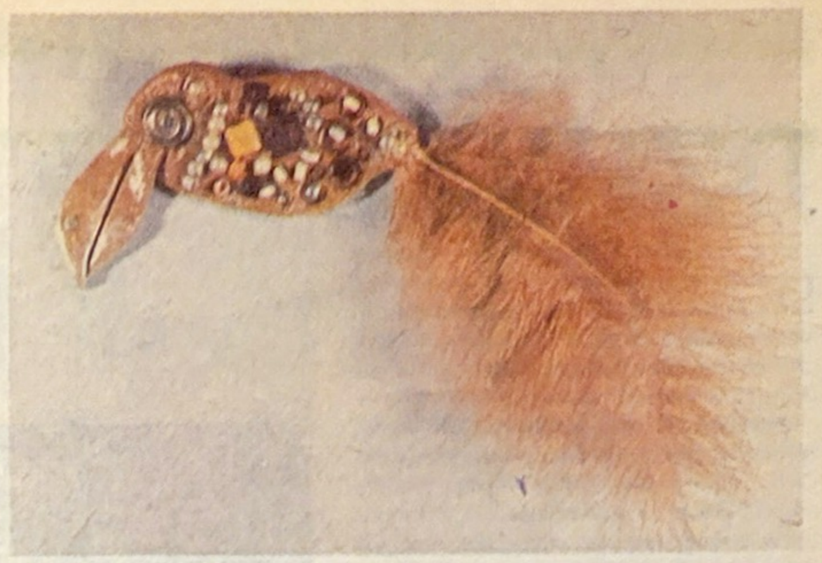

Motyle, witraż i morskie dno...

...a wszystko to zrobić można z modeliny. Jest to masa plastyczna, która pod wpływem wysokiej temperatury twardnieje, zachowując nadany kształt. Ma przy tym wiele zalet: jest łatwo dostępna w papierniczych sklepach, niedroga, a wykonane z niej klipsy i broszki są bardzo modne. Co najważniejsze, modelinową biżuterię wykonać można własnoręcznie, otrzymując przedmioty niepowtarzalne i oryginalne.

Przed przystąpieniem do pracy musimy zgromadzić jak najwięcej różnych ozdobnych drobiazgów: koralików, dżetów, cekinów, szkiełek, kawałków stłuczonego lusterka itp. Mogą to także być inne przedmioty, np. śrubki i nakrętki, kawałki sznurka, stary zamek błyskawiczny, pióra — to już zależy od Waszej fantazji i formy projektowanej ozdoby.

Następnie uplastyczniamy modelinę, przez kilka minut ogrzewając ją i ugniatając dłonią. A potem? Potem uruchamiamy wyobraźnię i przystępujemy do formowania wymyślonego kształtu...

Biżuterię ozdabiamy rozmaitymi zawijasami, rulonikami, nakładkami innego koloru, nacięciami i żłobieniami, odciskami różnych przedmiotów i zgromadzonymi wcześniej drobiazgami. Ważne jest, aby cała powierzchnia przedmiotu była wypełniona zdobieniami. Całość powinna bowiem robić wrażenie jarmarcznej obfitości i blasku. W końcu ma to być biżuteria zabawna, nietypowa, prowokująca swą tanią oryginalnością...

Kiedy przedmiot jest już gotowy, od „lewej", tej niewidocznej strony mocujemy zapięcie, uzyskane np. ze znaczka z zapomnianym idolem, starego klipsa lub zwykłą agrafkę (jeżeli ma to być broszka!).

Pozostaje utrwalenie wyrobu poprzez zanurzenie go na ok. 10 minut we wrzącej wodzie. Z pewnością część ozdób przy gotowaniu wypadnie, ale nie należy się tym przejmować, gdyż po wyschnięciu wyrób maluje się lakierem, mocując przy okazji owe ozdoby. Można także używać do malowania różnokolorowych lakierów do paznokci, a także posypywać wyrób brokatem, czy „dobłyszczać" srebrolem lub złotolem (do kupienia w sklepach chemicznych).

Jeżeli zaś naszym marzeniem jest czarna broszka z modeliny — obecny szał mody — gotową broszkę innego koloru możemy pomalować na czarno. Uwaga, oto najprostszy patent na uzyskanie wspaniałej czarnej farby: do buteleczki z bezbarwnym lakierem do paznokci wyciskamy ostrożnie zawartość dwóch czarnych wkładów do długopisu. Następnie długo i cierpliwie wstrząsamy buteleczką, aż mieszanina stanie się jednolita.

W proponowanej zabawie w projektanta i twórcę biżuterii niezbędne są dwie rzeczy: surowiec i pomysł. Pobiegnij więc do sklepu papierniczego, a potem usiądź wygodnie w fotelu i wyobraź sobie...

AGNIESZKA LUBOWICZ
Fot. **Marek Szymański**

Vicky przedstawia:

DEMOKRATYCZNY ZWIĄZEK PIONIERÓW FINLANDII

Suomen Demokratian Pioneerien Liitto powstał 3 czerwca 1945 roku. Jego pierwowzorem była organizacja założona w roku 1920, skupiająca w swych szeregach ponad dziewięć tysięcy dzieci i młodzieży, głównie ze środowisk proletariackich.

SDPL uważany jest za najbardziej postępową i najbardziej aktywną fińską organizację dziecięcą. Od początku istnienia CIMEA bierze aktywny udział we wszystkich jej przedsięwzięciach; pionierzy z Finlandii sami byli również inicjatorami wielu pożytecznych akcji. Do organizacji należą dzieci i młodzież w wieku 7–16 lat. Doświadczeni instruktorzy prowadzą także działalność wśród jeszcze młodszych dzieci, prowadząc z nimi zajęcia w klubach. Starsze grupy pionierskie, zwane „osasto" działają poza szkołą — przede wszystkim w klubach i ośrodkach kulturalnych.

„Zawsze gotowi — dla ludzi" — oto zawołanie fińskich pionierów. Rzeczywiście — chętnie podejmują się oni wielu prac na rzecz ludzi starszych, chorych, walczą też o ochronę naturalnego środowiska człowieka, podejmują akcje o charakterze politycznym, mające na celu walkę o zapewnienie światu trwałego pokoju.

Strój organizacyjny pionierów stanowi zielona koszula, czerwona chusta i znaczek pionierski, otrzymywany po złożeniu ślubowania i przyjęciu do grupy. Mogą oni zdobywać trzy stopnie. W tym celu należy zrealizować zestaw wymagań z różnych dziedzin zawartych w pionierskim zeszycie prawdy. Pierwszy stopień, oznaczony sznurem czerwonym otrzymuje się w wieku 11 lat, drugi (oznaczony sznurem zielonym i upoważniający do pełnienia funkcji pomocnika instruktora) — w wieku lat trzynastu. Najstarsi — instruktorzy po zdobyciu trzeciego stopnia noszą sznury zielono-czerwone.

(jam)

„Pomidorowa" Warszawa

KOLEKCJA ŚWIATA MŁODYCH

DZIWADŁO NIE ŚPIEWA W CHÓRZE

Dom Pionierów Morskiego Rejonu to może nawet brzmi poważnie i dostojnie. I niewątpliwie robi się tu poważne rzeczy, choć naprawdę jest tu mało dostojnie. Dom jakiś malutki, chyba już stareńki, trochę skrzypią schody, czyściutko, ale widać, że niezbyt dostatnio, a na pewno ciasnawo. Cicho, albo prawie cicho — jakaś smużka muzyki płynie przez korytarze. Jest sobota, a *„w soboty nie ma zajęć pozaszkolnych. Sobota jest dla rodziny"* — mówią Estończycy.

Pusto, pachnie pastą, lśnią posadzki, a pracownie takie jak w naszych pałacach i domach młodzieży. Kilka plastycznych, krawiecka (bardzo elegancka, z lustrami niczym w salonie mód), — klub międzynarodowy, taneczna, muzyczna...

Ta smużka muzyki to właśnie stąd. Kilka dziewczynek przybiegło, aby przećwiczyć jakieś szalenie skomplikowane pas. W kolorowych trykotach kręgują się przed ścianą luster. W drugiej salce na bardzo dziwnym instrumencie — jakby drewniane cymbały — ćwiczy pod okiem młodej, bardzo młodej instruktorki malutka dziewczynka. To specjalne, dodatkowe lekcje. Karin chodzi do trzeciej klasy i postanowiła grać na ludowym instrumencie. Potem przychodzą jeszcze Katrie i Morilis, wyciągają z szafek swoje równie niezwykłe instrumenty i już teraz na moją prośbę demonstrują ich i swoje możliwości. Wszystkie należą do orkiestry, czy lepiej byłoby powiedzieć — kapeli MERO. W MERO gra się muzykę ludową. Gra się na zwykłych instrumentach takich jak skrzypce, akordeon, flet, kontrabas, ale i na niezwykłych miejscowych takich jak loku, pingipin, kannel...

MERO podobno znane jest nie tylko w Tallinie, choć w Estonii nie łatwo stać się znanym zespołem, bo jest ich po prostu bardzo, bardzo dużo. W Estonii co pięć lat

na ogromnym Polu Pieśni spotyka się około 30 tysięcy śpiewaków i tancerzy i ponad 300 tysięcy słuchaczy.

— *W Estonii śpiewa się chórem* — śmieje się Milvi. — *W szkole uchodziłam za dziwadło. Nie lubiłam chóru...*

Przeglądałam broszurkę opartą na danych fińskiego Urzędu Statystycznego za rok 87 i wyobraźcie sobie: **na 1 556 024 obywateli 25 300 zrzeszonych jest w Estońskim Towarzystwie Chórów.** Mniej więcej co 60 Estończyk śpiewa w chórze. I to takim zarejestrowanym, oficjalnym... Śpiewa, tańczy lub gra.

Sportowe pasje Estończyka?... ▲ szybkość! ▼

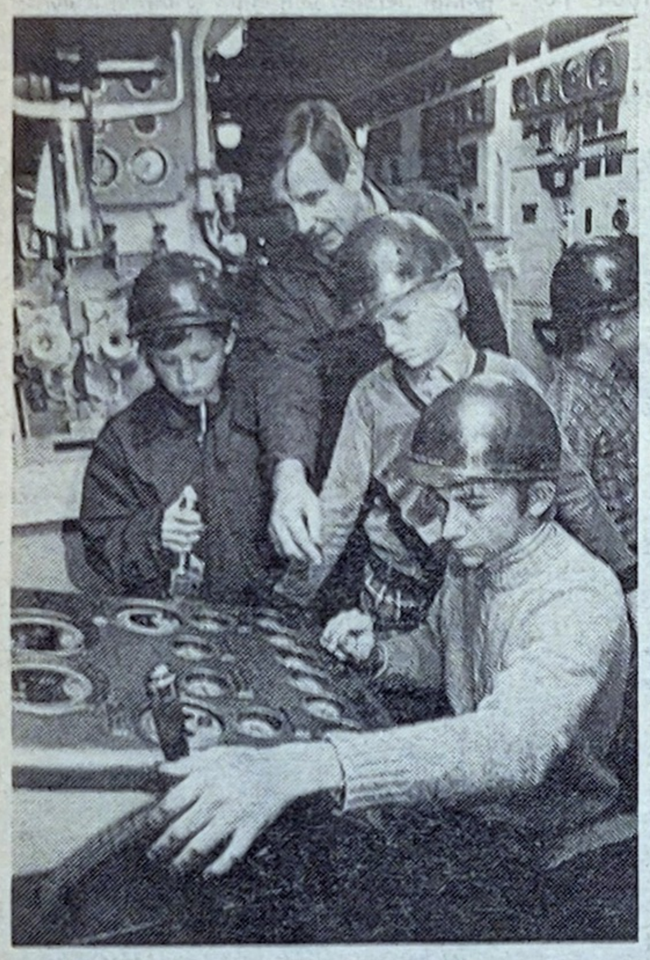

Juhani Ergma powiada, że teraz ma więcej roboty niż na pełnym morzu

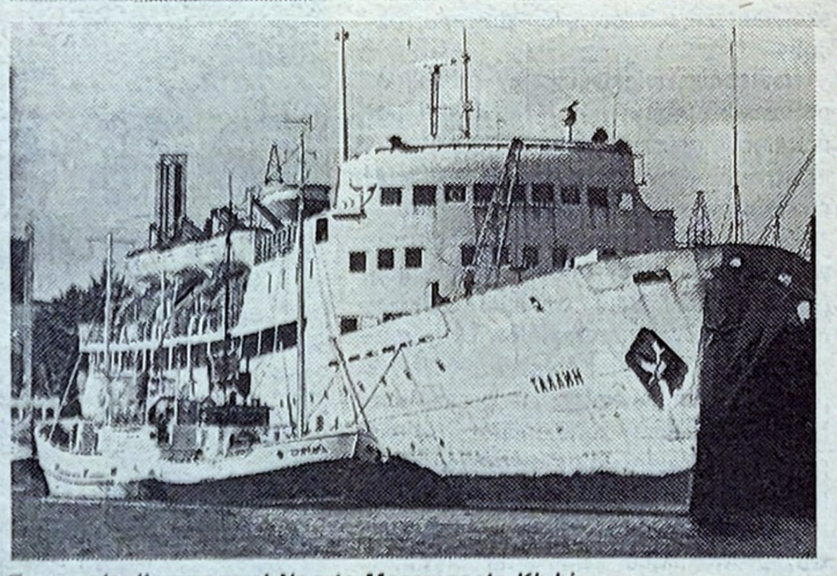

Ten „pałac" opanował Noorte Meremeeste Klubi

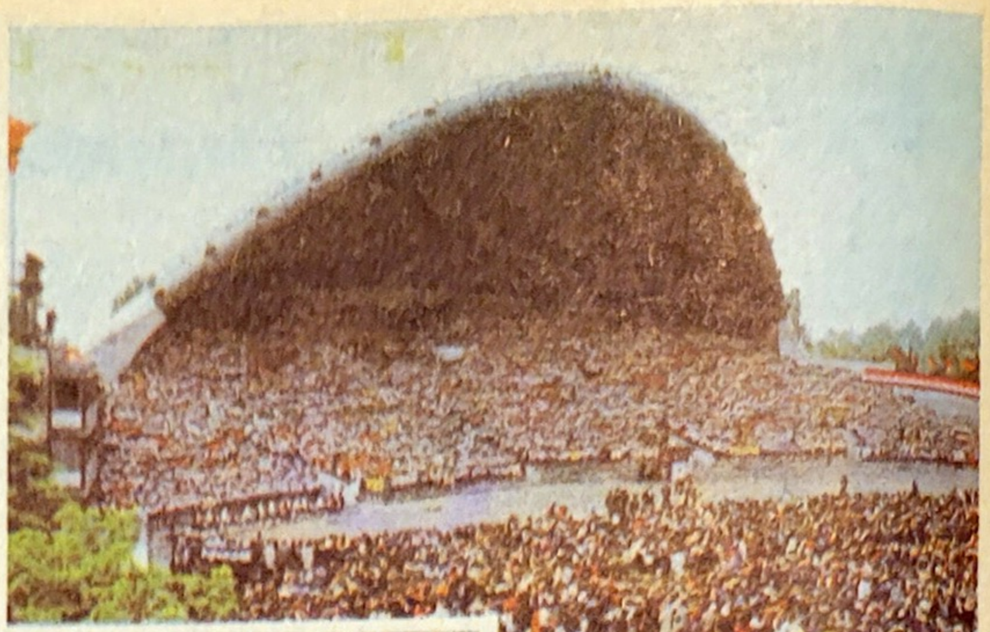

Na Polu Pieśni spotyka się „cała" Estonia. Czy możecie sobie wyobrazić jak brzmi 30 000 chór?

Jestem w Domu Pionierów dzielnicy morskiej — rzeczywiście niedaleko tu do portu (choć prawdę mówiąc cały Tallin ma niedaleko) więc pytam o żeglarzy, wioślarzy, słowem o „mariaków". Tu ich nie ma — ten dom stoi mocno na ziemi — ale oczywiście w ogóle są. Który z estońskich chłopaków nie pływa, nie łowi ryb, nie marzy o morskich podróżach?! — *Jedźcie do portu. Tam mają Pałac.*

A więc jedziemy. Szukamy pałacu i trafiamy. O, do tego na zdjęciu. Statek „Tallin" po olimpiadzie w 1980 roku został oddany pionierom. Zacumował w porcie, ale jest „na chodzie". Choć stoi, w każdej chwili może wypłynąć, bo jest utrzymywany w pełnej gotowości. Szefowie Noorte Meremeeste Klubi (tak się nazywają — Klub Młodych Marynarzy): kapitan dyrektor — Tynu Melcas, zastępca — Juhani Ergma i szturman — Meelik Soop są pełną gębą marynarzami. A ci, którzy tu przychodzą, przyjeżdżają, przybiegają z całego Tallina grzecznie przed wejściem na trap wycierają nogi, zakładają kapcie i rozchodzą się na zajęcia swoich sekcji do kajut, salonów, i mesy. (Sekcji jest chyba dziewięć — jeśli dobrze policzyłam.) Budują, rekonstruują i konstruują, uczą się obsługi najprawdziwszych maszyn i urządzeń. Siedzą więc i w maszynowni, siedzą w nawigacyjnej, pracują pod kierunkiem Pana Radio — krótkofalowcy mają kontakt z całym światem. Są tu specjaliści od morskiej biologii, morskiej archeologii i... etnografii. Są fotograficy (także podwodni), płetwonurkowie, modelarze, motorowodniacy, żeglarze.

Wypływają na dalekie pełnomorskie rejsy. W ubiegłe wakacje byli w Rostocku, no i naturalnie codziennie pływają po tallińskiej zatoce. Mają kilka jednostek większych i zupełnie małych zbudowanych przez siebie, no ale to oczywiste, jakby nie było, wody tu dużo. — *Na 45 000 km² mamy 1 200 jezior! Tallin leży nad Zatoką Fińską... Stąd wywodzą się wielcy zdobywcy mórz — S. Greig i I. Kruzenstern...*

Jakie mają pasje! Tu nie ma zgody — *Motorowodniactwo! — Żużel! — ... Narciarstwo!* Od wielu lat tysiące startujących wyrusza na trasę 55,8 km maratonu Tartu. (Tartu — dawniej: Dorpat! — to drugie co do wielkości miasto Estonii sławne m.in. z uniwersytetu, który kończyło wielu Polaków w XIX wieku.) — *Jachting! — Wioślarstwo!* ... nie, nie ma zgody. No, może śpiewanie. Tak, na to można się zgodzić. — *Śpiewać lubimy wszyscy.*

„SĀDE" ZNACZY „ISKRA"

„Iskra" jest „Światem Młodych" nastoletnich estończyków. „Sāde" jest mniej kolorowa niż „Świat Młodych" i znacznie szczuplejsza i nakład ma mniejszy, ale i do szkoły chodzi tutaj jedynie nieco powyżej 230 tysięcy uczniów (ta liczba obejmuje także dorosłych chodzących do szkół wieczorowych!). Gazeta jak gazeta — stara się być wszędzie tam, gdzie się coś ciekawego dzieje, gdzie się coś robi lepiej niż gdzie indziej, albo odwrotnie gorzej niż gdzie indziej. W redakcji też jak to w redakcji — biurka, szafy, papiery, papiery, papiery. W redakcji gazety dla dzieci też zwykle typowo — do tych biurek, szaf i papierzysk dochodzą kolorowe akcenty: rysunki, jakieś okazjonalne prezenty od czytelników — maskotki, plakaty i zwykle — sympatyczni ludzie. Trochę zwariowani może. I tak jakby mieli trochę za dużo pomysłów, tak ze dwa pomysły na minutę.

Jeśli będziecie odwiedzać jakąkolwiek redakcję pisma dla dzieci i młodzieży, sprawdźcie to. Na całym świecie jest zupełnie tak samo.

U redaktora naczelnego „Sāde" w gabinecie na zupełnie naczelnym miejscu duża kukła — roześmiany chłopak. Nieco sfatygowany, bo ponoć często podróżuje, często przechodzi z rąk do rąk, poklepywany, ściskany zasiada przy stołach jurorów rozmaitych konkursów organizowanych przez gazetę (teraz zapewne siedzi w jakiejś stercie śniegu na dorocznym konkursie rzeźby śnieżnej!), towarzyszy redaktorom w podróżach, z laureatami redakcyjnych konkursów bywa na obozach i zdaje się, że zachowuje się tak jak nasz Tytus, choć z wyglądu bardziej przypomina A'Tomka.

Do „Sāde" przychodzi codziennie listonosz i ciągnie za sobą worek. Trochę mniejszy niż światomłodowy, ale nie tak bardzo. Codziennie przychodzi masa listów. Takich jakie się do redakcji pisuje — bo wszędzie ktoś się po raz pierwszy zakochał, i po raz pierwszy został zdradzony, i ktoś jest „nowy", ktoś „inny" niż inni, ktoś smutny, a ktoś przesadnie wesoły i... czy to normalne! Piszą do „Sāde" przede wszystkim dziewczyny, ale chłopięce listy, choć rzadsze, są jakby... cięższe. Kiedy chłopak napisze, to aż się czuje, że rzeczywiście jest coś poważnego, prawie bez wyjścia.

Poza takimi listami codziennie oczywiście przychodzą listy od Młodych Korespondentów. (*Kto nadeśle 3 korespondencje ten otrzymuje legitymację i znaczek.*) Dzięki nim gazeta jest tak popularna. Młodzi Korespondenci spotykają się — w marcu tego roku już po raz szesnasty. „Sāde" prowadzi Zaoczną Szkołę Dziennikarską, a każdej wiosny zalewana jest wierszami o miłości. Kółko korespondentów z Tallina zamierza wydać swój, zupełnie swój nawet przez siebie składany, łamany i drukowany numer „Sāde".

„Sāde", tak jak „Świat Młodych", prowadzi coś na kształt Banku Adresów, tzn. pośredniczy w nawiązywaniu kontaktów międzynarodowych i właśnie korzystając z mojej wizyty proponuje kontakty estońsko-polskie.

Kto chce korespondować z estońskimi dziewczętami i chłopcami niech napisze list. Normalny list — najlepiej po rosyjsku, taki o sobie. Włóżcie ten list do koperty adresując go do redakcji „Sāde"

Piarnuskoe szosse 67 a
200007 Tallin

Na kopercie napiszcie komu list ma być przekazany: dziewczynce, chłopcu, w jakim wieku, określcie ewentualnie swoje zainteresowania i w jakim języku możecie prowadzić korespondencję.

WANDA KOBYLECKA
Fot. **Verner Puhmi**
Herkki Merila

---

13 września 1944 roku wprowadzono do obiegu znaczki pocztowe wydrukowane w Moskwie. Na znaczku wartości nominalnej 25 gr przedstawiono Orła Białego (rysunek zaprojektowano według orła piastowskiego z sarkofagu Bolesława Krzywoustego w Katedrze płockiej), a na znaczku o wartości 50 gr — fragment Pomnika Grunwaldzkiego w Krakowie. W związku z podwyżką taryfy pocztowej znaczka 25 groszowego, „Orzeł Biały", używano kilkakrotnie do przedruków, nanosząc nową wartość, nominalne i okolicznościowe teksty. Tak więc w końcu grudnia 1944 roku nadrukowano nowe wartości 1, 2, i 3 złotych w serii znaczków poświęconych pierwszej rocznicy Krajowej Rady Narodowej oraz przekształceniu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego w Rząd Tymczasowy Rzeczypospolitej Polskiej.

W lutym 1945 roku znaczek „Orzeł Biały" wykorzystano do okolicznościowej serii „Wyzwolenia miast". Na znaczkach nadrukowano nową wartość — 3 zł, nazwę miasta oraz datę wyzwolenia: Kielce (15.01), Radom (16.01), Warszawa (17.01), Częstochowa (17.01), Kraków (19.01), Łódź (19.01), Gniezno (22.01), Bydgoszcz (23.01), Kalisz (24.01) i Zakopane (29.01) — 1945. Seria wymienionych wyżej „Dziesięciu miast" ukazała się w nakładzie po 100 000 sztuk każdego znaczka.

Z nadrukiem „Warszawa 17.I.1954" związany jest kolejny polski rarytas filatelistyczny. Do przedrukowania serii użyto pierwszą część nakładu znaczka o wartości 25 gr w kolorze czerwonym wykonaną rotograwiurą, jednak wskutek zużycia się formy dalszy nakład wykonano typografią w kolorze brunatnoczerwonym (filateliści nazwali go pomidorowym). W jaki sposób wśród arkuszy pierwszej części nakładu znalazły się arkusze znaczków w kolorze brunatnoczerwonym nie wiadomo — w każdym razie pojawiły się takie ryrytasy! Cena: czysty — 20 000 zł, kasowany 20 000 zł.

To niełatwe do wytłumaczenia

Oddział chirurgiczny Szpitala Bródnowskiego. Sobota. Godzina 12.00. Wśród białych fartuchów kilka szarych. Białe pielęgniarskie czepki, białe kołnierzyki, w rękach szczotki, miski, ścierki, płyny, proszki i pasty do szorowania.

Oddział podzielony jest na 3 odcinki. Na każdym z nich pracują po dwie dziewczyny w szarych fartuszkach. W sanitariatach pucują umywalki i miski klozetowe, usuwają z brodzików rdzę. Przywracają blask wykładanym kafelkami ścianom łazienek i lustrom. Podłogi aż lśnią.

Chorych poznały już rano, kiedy to od 7.00 pomagały dyżurującym praktykantkom, też z ich szkół, przy toalecie pacjentów. Sprawniejszym przyniosły miski z wodą, nie wstających zaś, tych po zabiegach operacyjnych, myły. Czasem trzeba umyć chorego od stóp do głów, zmienić mu pościel i bieliznę osobistą. Ba, niektóre dziewczyny poznały też tajniki golenia.

Jeden odcinek jest łatwiejszy, inny trudniejszy do sprzątnięcia. Na odcinku C, na przykład, zawsze jest sporo roboty. Leżą na nim chorzy po operacjach żylaków kończyn i odbytu. Nic więc dziwnego, że skoro są tu ropiejące rany, będzie więcej opatrunków i więcej nieporządku. Dziewczyny martwią się brakiem środków myjących, ale tak ogólnie... nie narzekają.

PRZYSZŁE PIELĘGNIARKI

a obecnie uczennice warszawskiego Liceum Medycznego nr 2 przychodzą do szpitala nie tylko na zwyczajne praktyki, obejmujące, w różnym zakresie, klasy od drugiej do piątej, ale też dodatkowo, w soboty i niedziele. Tyle że w roli sprzątających w ramach śródrocznego OHP. Oczywiście po wcześniejszym przedstawieniu zgody rodziców (oj, były z tym kiedyś kłopoty: ,,jak to, moja córka i sprzątanie?!''), wychowawcy klasy i lekarza szkolnego.

Dziś pracuje ósemka czwartoklasistek pod okiem dwu starszych koleżanek z piątej klasy. Tradycyjnie, już od lat, dziewczęta z klas czwartych mają do dyspozycji dyżury OHP podczas pierwszego semestru szkolnego. Wszystko, co zarobią podczas siedmiu godzin trwania dyżuru, przeznaczają w całości na studniówkę.

Po półroczu zgłaszają się pozostałe uczennice chcące podjąć w dni wolne od zajęć szkolnych pracę na terenie szpitala. Na ogół są to drugo- i trzecioklasistki. Pracują rzecz jasna po to, żeby zarobić trochę pieniędzy. Rzeczywiście trochę! Kiedy dowiaduję się, ile wynosi ich stawka za godzinę (opłacane są jak sprzątaczki) oczy wychodzą mi z orbit. Oczywiście ze zdumienia. 52,70 zł, — słownie: pięćdziesiąt dwa złote siedemdziesiąt groszy za godzinę. Czyli za dyżur od siódmej rano do czternastej całe... 368 zł 90 groszy!

— Niech się pani tak nie przejmuje — śmieje się Marzena. — Będąc w drugiej klasie, pracowałam w ten sposób przez cały rok razem z moim chłopakiem. Co dwie wypłaty to nie jedna. Mój chłopak, uczeń liceum ogólnokształcącego, trochę przy tej okazji poznał życie, a już bardzo dokładnie zorientował się, na czym będzie polegał mój przyszły zawód.

To jasne, że jednorazowe dyżury zupełnie się finansowo nie opłacają. W starszych klasach zaś na systematyczne przychodzenie, dajmy na to co sobotę, nie ma czasu, bo i szkoła, i odrabianie lekcji bardzo dużo go pochłaniają. Ale dla dziewcząt z klas młodszych takie śródroczne OHP to naprawdę nie tylko pieniądze. Więc co?

I UBIKACJA CZYSTA BYĆ MUSI

Kasia (klasa V): Te najmłodsze są na etapie fascynacji. Każde bezpośrednie zetknięcie ze szpitalem, z chorymi ma dla nich ogromne znaczenie. Więc dobrze, żeby tych kontaktów miały jak najwięcej. Kilka dodatkowych godzin na oddziale to możliwość podpatrywania pracy pielęgniarek, ich techniki i sposobów robienia zastrzyków. A w ogóle to trudno przecenić fakt, że człowiek widzi na własne oczy to, o czym się uczy w szkole, że ma bezpośrednio do czynienia z najróżniejszymi przypadkami, ot choćby z reanimacją. Po takiej porcji praktycznych obserwacji o wiele łatwiej wchodzi do głowy teoria.

Marzena (klasa V): Jest to dodatkowa szansa oswojenia się ze szpitalem, co potem, podczas prawdziwych praktyk, na tych samych przecież oddziałach, daje nam większą niż pozostałym pewność siebie.

Asia (klasa IV): Nie zadawałaby pani tego pytania, gdyby miała pani możliwość zobaczenia takiego uśmiechu i usłyszenia takiego ,,dziękuję'' jak my od naszych chorych. Nieraz za najmniejszy drobiazg.

Iwona: A ja chciałabym być bliżej pacjenta. Nie przepadam za sprzątaniem ubikacji.

Marzena: Ale przecież to też nie dla kogo innego robisz, a dla pacjenta właśnie! Salowa przeleci po oddziale szmatą i już. I jak się czuje chory, kiedy wstaje z czystego łóżka i wchodzi do brudnego, śmierdzącego kibla? Tego właśnie chcemy mu zaoszczędzić.

Ula: Mamy świadomość, że dzięki nam, uczennicom, chorzy w szpitalu są bardziej zadbani, mają czyściejszą pościel, jest komu namówić ich, ubrać i poprowadzić na pierwszy po operacji spacer po korytarzu.

Jakoś odeszłyśmy od spraw finansowych. Odejdźmy na chwilę jeszcze dalej. Pani **Urszula Szuszko** jest absolwentką tego samego liceum, a obecnie jego nauczycielką, opiekunką praktyk i komendantką śródrocznych OHP.

SENS I CEL

— Tę funkcję pełnię już od sześciu lat. Pozwala mi ona na uczenie dziewcząt uczciwej i porządnej pracy. A przy tym na dokonałe poznanie każdej, co sprawia, że łatwiej mi potem pracować z nimi w klasie. To niełatwe do wytłumaczenia, ale nasza praca niezwykle wciąga. Niektóre z nas, nawet te, którym zdarzało się mdleć na pierwszej praktyce, powiedziałyby zapewne, że jeśli by zapewniano im jedzenie i ubranie tylko, to pracowałyby w tym zawodzie nawet za darmo.

— Ponieważ bardzo brakuje salowych, w szpitalu zatrudnione są też sprzątaczki. Ale to wcale nie oznacza, że sobotnio-niedzielne ekipy dziewcząt z OHP nie są tu witane z ogromną radością — mówi p. **Izabela Furmaniak**, naczelna pielęgniarka ZOZ Wojewódzkiego Szpitala Zespolonego na Bródnie i p. **Halina Zdanowicz**, przełożona szpitala. — Mamy bowiem pewność, że oddział, na którym się znajdą, będzie przynajmniej raz na tydzień wysprzątany na sto procent, że wszystkie prace porządkowe zostaną wykonane idealnie. Więcej nawet: że każdemu choremu, któremu potrzebna jest pomoc, natychmiast jej udzielą. O ich pracy, odpowiedzialności, ba, nawet o poświęceniu, możemy mówić jedynie same ciepłe słowa. Tak samo zresztą, jak i o wszystkich dziewczętach — praktykantkach z 2 Liceum Medycznego. Oprócz tego, że pracują u nas w śródrocznych OHP, w lipcu i sierpniu wiele z nich zatrudnia się w szpitalu indywidualnie na etatach salowych. Podobnie jest podczas ferii. Pracują od 7 rano przez 6 godzin i mają zapewnione posiłki.

Hufce śródroczne to zaledwie

ZNIKOMA CZĘŚĆ

działalności OHP w Liceum Medycznym nr 2. Akcja letnia to jest dopiero to! Tu można mówić i o satysfakcji z dobrej roboty, i o prawdziwej forsie. Dziewczyny z tego OHP mają doskonałą renomę w niejednym województwie, w niejednym zakładzie pracy są mile widziane, a nawet bardzo pożądane. Nauczyciele z równie wielką chęcią jak dziewczyny garną się do tych wyjazdów. Cała ta sytuacja nie wzięła się z niczego: wymagała wielu lat konsekwentnych działań opiekunów OHP. Na czym one polegały i polegają, obiecujemy dowiedzieć się dokładnie i pokazać naszym czytelnikom w reportażu z akcji letniej.

EWA KOSIŃSKA
Fot. **Marek Szymański**

Raport z podróży

POCIĄG SPECJALNY 13625

Marek, pamiętaj, żeby wkładać czapkę i szalik!... Kasiu, słuchaj pani wychowawczyni i koniecznie napisz do mnie choć jedną kartkę!... A ty, Michał, żebyś mi tylko nie wydał wszystkich pieniędzy na automaty ...

Takie i podobne rady krzyżowały się w powietrzu, gdy kilka minut po godzinie 18 — 30 stycznia — na Dworzec Gdański w Warszawie wjechał specjalny pociąg kolonijny, który w kolejowych dokumentach oznaczono numerem służbowym 13625. Wagony lśniły czystością, były ogrzewane i wyraźnie oznakowane. Powoli korytarze i przedziały zapełniały się podróżnymi, walizkami, plecakami, nartami, a nawet rowerami, bo kilkuosobowa grupa kolarzy — przełajowców jechała na obóz kondycyjny.

Zapaliło się zielone światło — droga wolna. Zielony elektrowóz ciągnący za sobą 12 wagonów ruszył punktualnie o 19.10.

Przed nami 520 kilometrów do przebycia, 11 godzin jazdy. Według rozkładu do Zakopanego powinniśmy dojechać o 6.20. Czy się uda? Dyżurni ruchu na stacjach leżących na drodze naszej podróży mają podobno szczególnie baczyć na pociągi kolonijne, starać się, by bez przeszkód i opóźnienia dotarły do celu.

Elektrowóz prowadzą **Dariusz Król** i **Sławomir Górski** — maszyniści z warszawskiej lokomotywowni Olszynka Grochowska. Pan Dariusz pracuje na kolei już 14 rok; 6 lat spędził jako mechanik, od 8 lat prowadzi pociągi pasażerskie. Młodszy o kilka lat drugi maszynista, pan Sławek, po skończeniu technikum mechanicznego poszedł do wojska, a stamtąd trafił właśnie tutaj. Spodobała mu się praca na elektrowozie i został.

Stolica coraz dalej za nami, migają światła mijanych stacji. Co kilka minut jeden z maszynistów poprzez radiotelefon upewnia się w kolejnych nastawniach, czy droga przejazdu pociągu jest właściwie ustawiona. **„Korzystanie z radiotelefonu zwiększa twoje bezpieczeństwo"** — głosi napis w elektrowozie.

— *Rzeczywiście, to małe urządzenie oddaje nam nieocenione przysługi* — mówi pan Dariusz. — *Dzięki niemu wiem, czy przed oddaloną o 2 kilometry stacją będę musiał zwolnić, zatrzymać się, czy też będę mógł przejechać z maksymalną prędkością. Dzięki radiotelefonowi można uniknąć wielu awarii. Kilka dni temu jechałem Centralną Magistralą Kolejową i jeden z dyżurnych ruchu zaalarmował mnie o niebezpiecznie przegrzanych hamulcach ostatniego wagonu. Zahamowałem, kilka minut postoju i wszystko było w porządku. Gdybym jechał dalej, nic nie wiedząc o zepsutych hamulcach, doszłoby z pewnością do poważnej awarii.*

Za Koluszkami na niewielkiej stacji pierwszy półgodzinny postój. Musimy bowiem przepuścić jadące za nami pociągi ekspresowe. Jest okazja, by zjeść późną kolację, wypić herbatę. Dla pasażerów 30 minut w polu to z pewnością dużo, dla ludzi na kolei to prawie ,,normalka''.

— *Pociągi pasażerskie z rzadka mają dłuższe postoje, za to towarowe... Zdarza się, że pod semaforem przyjdzie czekać nawet i po kilka godzin na zielony sygnał* — mówi pan Sławek. — *Denerwujące jest to, że na niektórych trasach musimy jeździć bardzo wolno z powodu nieczynnych semaforów. Kradnie się bowiem kolorowe soczewki z tych urządzeń. Podobno dlatego, że są one potrzebne na... dyskotekach i zabawach. Niejednokrotnie w kilka godzin po naprawieniu nieczynnego semafora muszę meldować o kolejnej kradzieży. Drugim urządzeniem, które równie często pada łupem nastoletnich złodziei (bo tylko im jest potrzebne), są migające światła, zawieszane na końcu każdego pociągu.*

— *Już kilka razy* — dorzuca pan Dariusz — *ruszałem z takimi nowiutkimi lampkami z Warszawy Gdańskiej i dosłownie po kilku kilometrach meldowano mi o ich braku. A przecież nigdzie po drodze się nie zatrzymywałem. Ci złodzieje rzeczywiście muszą być niezłymi akrobatami. Ciekawe tylko, czy są świadomi, że powodują zagrożenie bezpieczeństwa dla innych pociągów?*

Półgodzinna przerwa dobiega końca. Ruszamy dalej. Jest już po północy, gdy wjeżdżamy do Częstochowy. Tutaj do lokomotywy wsiada pilot. Jego zadaniem jest ostrzeganie maszynisty o różnych przeszkodach na torach, niebezpiecznych rozjazdach, ograniczeniach prędkości. Ponieważ jednak obaj maszyniści często tędy jeżdżą i mają tzw. kartę znajomości szlaku, jego pomoc nie jest konieczna.

Znowu mkniemy przez ciemne pola.

— Czy taka jednostajność nie jest męcząca dla panów? — pytam.

— *Teraz nie, bo można z kimś porozmawiać* — mówi pan Dariusz. — *Ale rzeczywiście, nocą, gdy jadę sam, dokucza jednostajność, a czasem i senność. Dlatego każdy, jak może, walczy z tym: rozmawia sam ze sobą, śpiewa, słucha radia. Musimy się do tego przyzwyczaić, podobnie jak do nieregularnego czasu pracy. Raz wyjeżdżam rano, jadę np. do Nowego Sącza, tam*

DOKOŃCZENIE NA STR. 7

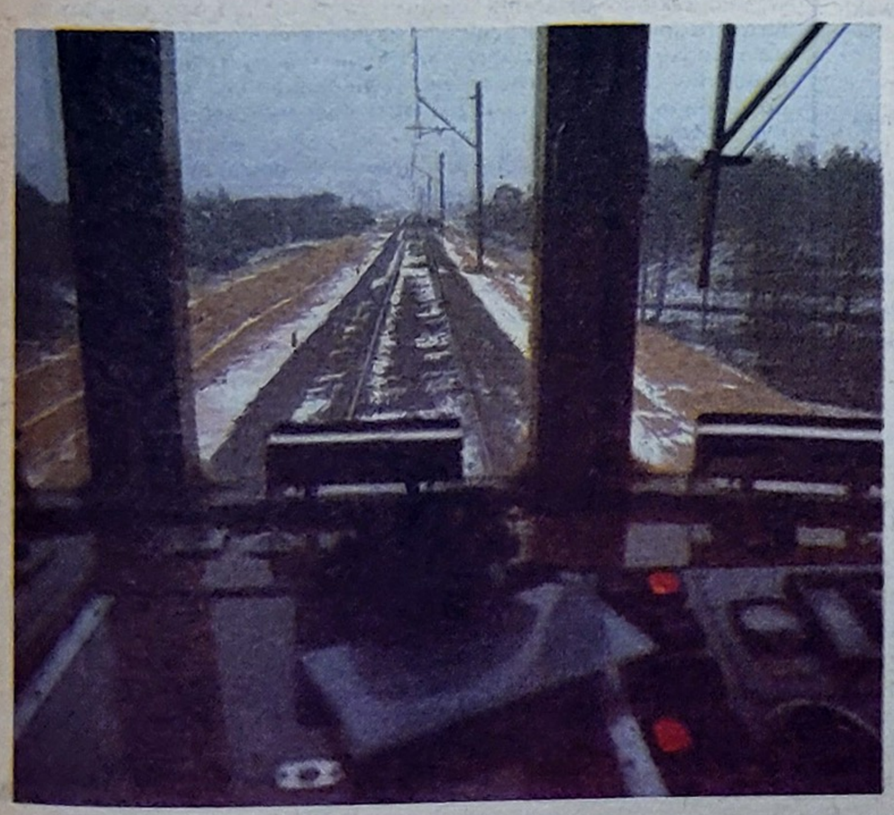

ŚWIAT NA CZTERECH KÓŁKACH

FIAT TIPO

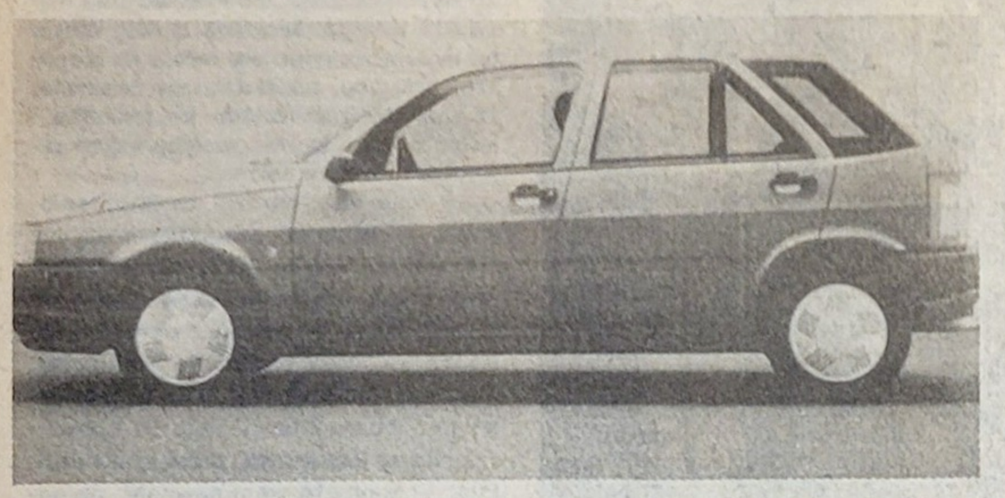

Niedawno nasza prasa codzienna podała informację, że koncern Fiata rozpoczął produkcję nowego modelu samochodu oznaczonego marką FIAT TIPO. Pomimo tego, iż nie dysponuję jeszcze szczegółowymi danymi technicznymi FIATA TIPO, postanowiłem go zaprezentować już w naszym kąciku.

Sylwetka tego nowego włoskiego samochodu przedstawiona została na załączonych zdjęciach. Kształtem nadwozia TIPO podobny jest nieco do FIATA UNO. Ciekawe stylistycznie i niekonwencjonalne jest rozwiązanie tyłu samochodu, a szczególnie tylnych, piątych drzwi obejmujących swym zasięgiem całą powierzchnię tyłu i dodatkowo dużą część górnej i bocznych powierzchni, które dochodzą aż do krawędzi trzeciego, bocznego okna. To okno też posiada oryginalny kształt, a więc w jeszcze większym stopniu uwidoczniona została klinowa forma nadwozia.

Nadwozie FIATA TIPO wykonywane jest z blach stalowych podwójnie ocynkowanych.

Silnik w tym samochodzie umieszczony jest z przodu, a napęd od niego przekazywany na koła przednie.

W FIACIE TIPO mogą być montowane silniki o następujących pojemnościach: 1100 cm sześc. i mocy 48 kW, 1400 cm sześc., o mocy 59 kW, 1600 cm sześc., o mocy 74 kW — są to jednostki z zapłonem iskrowym — benzynowe, oraz dwa rodzaje silników z zapłonem samoczynnym — wysokoprężne o pojemnościach 1700 cm sześc. i mocy 44 kW, 1900 cm sześc. i mocy 59 kW. W przyszłości ma być w tym samochodzie silnik benzynowy o pojemności 1800 cm sześc. wyposażony w turbosprężarkę i osiągający moc 100 kW.

Duża część FIATÓW TIPO wyposażana będzie w automatyczne skrzynie biegów

sprawdzone w samochodach UNO SELECTA, których konstrukcja oparta jest na stalowych paskach klinowych. Zawieszenie wszystkich 4 kół samochodu jest niezależne. Konstrukcja samochodu wynika z zasady „obszerny wewnątrz — mały na zewnątrz". Tak więc pomimo przynależności do klasy samochodów średnich, TIPO będzie miał niezbyt dużą długość całkowitą.

Produkcja TIPO została w bardzo dużej części oparta na automatycznych liniach produkcyjnych, realizowanych przez roboty przemysłowe. Wyliczono, że montaż tego samochodu na takiej linii produkcyjnej trwa tylko 3 godziny.

Nie podane zostały jeszcze dane eksploatacyjne FIATA TIPO, należy jednak przypuszczać, że będzie on należał do rzędu pojazdów o niskim zużyciu paliwa, a więc określanych mianem ekonomicznych.

KĄCIK PRZYJACIÓŁ MOTORYZACJI

Sebastian PAŁĘGA, ul. Koziegłowska 61, 42-421 WŁODOWIEC, poszukuje wszelkich publikacji dotyczących budowy i napraw motocykli marek: Yamaha, Honda, MZ, Jawa 500/897. Nawiąże również kontakt z osobami, które mają do sprzedaży motorowery marki Simson i Ogar.

Adam TROJANOWSKI, ul. Gajowa 59/45, 15-794 BIAŁYSTOK, poszukuje prospektów różnych typów Mercedesów, za które oferuje prospekty Toyoty i Volkswagena.

Dariusz ZAWORDZKI, ul. Niedziałkowskiego 3/4, 74-300 MAŚLIBÓRZ, poszukuje prospektów następujących samochodów: Toyota, Rolls-Royce, Mazda, Mercedes, za które oferuje plakaty z zespołami rockowymi i prospekty następujących samochodów: BMW, Honda, Mitsubishi, Volkswagen, Citroen.

ZENON DUTKIEWICZ

Zielono mi (150)

Już czas czynić wiosnę

Jeszcze nie wiosna ani w kalendarzu, ani na polach, lecz my ogrodnicy już zabieramy się do pracy. Już teraz trzeba czynić wiosnę na parapetach okiennych (patrz fot.) wysiewając nasiona tych roślin, które wymagają dużo czasu do wyrośnięcia w okazałą rozsadę. Mam tu na myśli pomidory, paprykę, oberżynę, rodzynki brazylijskie i pomidory skórzaste. Wszystkie te gatunki można wysadzić na przełomie kwietnia i maja do gruntu pod osłony z folii. Rozsada przygotowana na oknie, w warunkach domowych wymaga około 6 tygodni do wyrośnięcia. Stąd nasiona trzeba siać już na początku marca. O trzy tygodnie później, pod koniec marca, można wysiewać nasiona tych samych gatunków dla uzyskania rozsady do wysadzenia w gruncie otwartym. Sadzić do gruntu otwartego nie warto wcześniej jak po 15 maja.

Już na początku marca trzeba koniecznie wysiać sałatę jeśli zamierzamy ją uprawiać pod osłoną z folii. Jeśli wiosna będzie ciepła, to rozsadę wysadzimy najpóźniej na Prima Aprilis i wysiejemy także rzodkiewkę. Zbiory będą najpóźniej na 1 maja.

W sklepach ogrodniczych ma być pod dostatkiem nasion papryki słodkiej polskiej hodowli w odmianach **Stano, Ino** i **Kano** oraz oberżyny odmian **Bonica F_1** i **Rado.** Czy nasiona te będą, to się przekonamy wkrótce. Nie szukajmy w sklepach nasion rodzynka brazylijskiego i pomidora skórzastego, bo ich nie znajdziemy. W tym przypadku trzeba liczyć na własne zasoby i na wymianę nasion. Są już w sklepach nasiona pomidorów do wczesnej uprawy oraz nasiona rzodkiewki i sałaty w dużym wyborze. Osobiście polecam doskonałe odmiany rzodkiewki **Silesia, Tatra Ilowiecka** i **Cherry Bell** oraz sałatę **As 44.**

Z siewem nasion na oknie nie powinno być kłopotów. Do uprawy siewek każde naczynie jest dobre: doniczka, miska od kaktusów, pudełko plastykowe lub płaska skrzyneczka z drewna. Naczynia te należy wypełnić żyzną ziemią. Najprościej jest kupić w kwiaciarni lub w sklepie ogrodniczym ziemię do kwiatów. Ziemia ta składa się głównie z torfu, który jest dobrym podłożem dla siewek i rozsady. Po nasypaniu ziemi do odpowiedniego naczynia ugniatamy ją lekko ręką, aby nieco osiadła, wyrównujemy i oklepujemy równiutko dnem szklanki. Powierzchnia ziemi po ubiciu powinna być o 1 cm poniżej brzegu naczynia by przy podlewaniu nie ściekała woda. Nasiona wysiewamy na powierzchni ziemi. Po wysianiu przysypujemy je półcentymetrową warstwą czystego piasku. Piasek jest najlepszym przykryciem, bo nie zlepia się tak jak torf lub próchniczna ziemia, toteż roślinki równiutko kiełkują. Zasiew trzeba codziennie zwilżać wodą, a gdy mieszkanie jest suche — to nawet dwa razy dziennie. Najlepiej użyć do tego celu spryskiwacza do wody, który powinien być u każdego ogrodnika. Taki spryskiwacz (przydatny także przy prasowaniu) rozpyla wodę na drobną mgiełkę i umożliwia delikatne podlewanie zasiewów.

Naczynia z zasiewem należy na początku ustawić w miejscu jak najcieplejszym na przykład na stołeczku przy grzejniku, aby stworzyć odpowiednie warunki do kiełkowania nasion. Gdy kiełki się ukażą trzeba naczynia przenieść w miejsce widne, blisko okna, by się rośliny nie wyciągnęły.

Nasiona wysiewamy zazwyczaj gęsto do pojemników, toteż siewki nie powinny przebywać w nich zbyt długo. Gdy roślinki wytworzą pierwsze dwa listki, podważamy każdą z nich patyczkiem, bierzemy za liście jak za uszy i przesadzamy do świeżej ziemi. „Doniczkami" dla takich małych roślin mogą być plastykowe pojemniki po wyrobach mlecznych. W każdy pojemnik sadzimy jedną roślinkę. Pamiętajmy jednak o przekłuciu dna pojemnika, by nadmiar wody mógł wyciekać. Małe doniczki plastykowe lub małe pierścienie z folii zastępujące doniczki można kupić w sklepach ogrodniczych. Naczynia te najlepiej jest ustawić na tacy, by można je hurtem przenosić z miejsca na miejsce w razie potrzeby. Można przesadzać młode siewki do skrzynek balkonowych wypełnionych **świeżą** ziemią lub do innych płaskich skrzynek sadząc je w rozstawie 4 × 4 cm. Przy sadzeniu trzeba się posługiwać zaciętym patyczkiem do robienia otworów w podłożu i do zaciskania ziemi wokół korzonków, po to by się nie zawijały.

Kiedy posadzona rozstawa się przyjmie, wkrótce zaczyna szybko rosnąć. Korzenie potrafią wyczerpać cały zapas pokarmów w ciągu tygodnia lub dwóch. Z tego powodu trzeba zakupić w sklepie butelkę Florovitu lub innego nawozu w płynie i zasilać rośliny raz w tygodniu według przepisów na opakowaniu.

AUGUSTYN MIKA
Fot. **J. Dąbrowski**

ZIELONA POCZTA

Nasza czytelniczka podpisana **„Renata"** prosi o pomoc w sprawie mimozy, którą zakupiono w sklepie i przyniesiono do domu i która zrzuciła nagle liście. Najprawdopodobniej liście opadły dlatego, że roślinka przeszła szok zmieniając wilgotne środowisko szklarni (w jakim wyrosła) na suche środowisko mieszkania. Dodatkowym czynnikiem mogło być częste dotykanie liści, bo któż tego nie robi mając mimozę! Może nie wszyscy o tym wiedzą, więc dodam, że liście mimozy przy najlżejszym dotknięciu zmieniają położenie z poziomego na zwisające. Radzę zraszać mimozę kilka razy dziennie mgiełką wody z rozpylacza. Unikać dotykania listków! Wkrótce powinny się ukazać na roślinie nowe listki odporne na opadanie.

Maciej Karpała, 33-163 Ryglice 63 pragnie nawiązać korespondencję w sprawie wymiany nasion, odcinków „Zielono mi", znaczków i naklejek. **(am)**

PRZYRODY (LUPKIEJ) Świat Młodych

ANANASY NA ŚWIERKU?

W przyrodzie wszystko jest możliwe, ale prawdziwe ananasy nie rosną jednak na świerkach. Jeżeli podczas spaceru w lesie zauważymy na gałązkach świerków jakby małe ananasy, to możemy być pewni, że pomimo podobieństwa nie są to smakowite egzotyczne owoce, tylko twory bardzo przypominające je wyglądem. Skąd się biorą takie dziwolągi? Są one spowodowane działalnością pewnych owadów, a ściślej ich larw. Wydzielają one drażniące toksyny, które powodują, że z kolei roślina wydziela tkankę oddzielającą pasożyta od swego organizmu. W wyniku takiego działania mogą powstawać bardzo dziwaczne formy, a jednocześnie pasożyty uzyskują w nich bardzo wygodną kolebkę. Podobny wpływ mają na rośliny również niektóre pasożytnicze grzyby. Nie wszyscy wiedzą, że tzw. czarcia miotła powstająca niekiedy na brzozach i sosnach jest właśnie przez nie spowodowana.

Przedstawione na zdjęciu „ananasy" powstały na młodych gałązkach świerka i są skutkiem działania pasożytniczych larw owadów o nazwie *Chermes abietis*. Takie narośla można czasem spotkać na bocznych gałęziach młodych świerków i w pierwszym roku od inwazji pasożytów wyglądają jak małe ananasy (niektórzy czytelnicy na podstawie wyglądu tych narośli mogą sądzić o wyglądzie prawdziwych ananasów, gdyż zapewne nie wszyscy je widzieli). W dalszym rozwoju kępka igieł na szczycie wydłuży się w małą, gęsto pokrytą igłami gałązkę, ale nigdy już nie będzie miała swojego naturalnego wyglądu i po pewnym czasie uschnie.

Podczas spacerów w lesie spotykamy czasem dziwne narośla w kształcie kul na liściach dębów, stojące sople na liściach osik, czy rozwichrzone barwne czupryny na pędach dzikich róż. Wszystkie te narośla są spowodowane przez pasożytnicze larwy owadów. Takie twory warto obejrzeć z bliska, zbadać je dokładnie na zajęciach w kółku biologicznym, a zasuszone można przechowywać jako eksponaty w szkolnej gablotce. Warto wiedzieć, że podobne narośla można znaleźć jeszcze na liściach wierzby i na gałązkach sosny.

Czekam na listy od obserwatorów jesienno-zimowej przyrody. Opadające liście drzew pomogą nam w odkryciu wielu ciekawych tajemnic.

ANDRZEJ KRUSZEWICZ
Fot. **autora**

POCIĄG SPECJALNY 13625

DOKOŃCZENIE ZE STR. 5

nocuję i wracam do domu dopiero drugiego dnia późnym wieczorem. Następny wyjazd albo z rana, albo w południe, a nawet wieczorem. W domu jestem tylko gościem.

A co tymczasem słychać u młodych pasażerów, którzy jadą w góry? Mimo późnej pory nikt nie śpi, z wyjątkiem... zapadających w drzemkę wychowawców. Z ciasnych przedziałów (w tym roku norma PKP przewidywała 10 osób w przedziale) dobiega gwar rozmów, gdzieniegdzie brzęczy gitara, którą skutecznie zagłuszają melodie z radia i magnetofonu. Anka i Kaśka spierają się, kto jest lepszy. Modern Talking czy Shakin Stevens? Andrzej i Michał dyskutują o filmach, które ostatnio oglądali na wideo. Są i tacy, którzy jak Tomek czytają kryminały. A wszyscy martwią się, czy będą mogli korzystać z uroków zimy, bowiem za Częstochową śniegu tyle co na lekarstwo, a na dodatek zaczął padać deszcz.

Kilka minut po godzinie 3.00 wjeżdżamy do Krakowa. Mamy już 30 minut opóźnienia. Po drodze staliśmy jeszcze raz w małym korku kolejowym.

Zmieniamy kierunek jazdy (będziemy to czynić jeszcze dwukrotnie: w Suchej Beskidzkiej i Chabówce). Do Zakopanego pozostało tylko 170 kilometrów. Kręte tory nie pozwalają na przekraczanie „setki".

Na tej górzystej trasie elektrowóz powinien ciągnąć maksymalnie 500 ton. Nasz skład waży o 50 za dużo — czyli o 10 procent. I efekt tego przeciążenia nie kazał na siebie długo czekać. W czasie wjazdu na jedno z wyższych wzniesień zapaliły się czerwone lampki awaryjne: poślizgu i przeciążenia silników. Jedziemy coraz wolniej. W maszynowni pojawił się lekki dymek. W końcu zatrzymujemy się, maszynista włącza hamulce, by pociąg nie stoczył się ze wzniesienia. Trzeba prosić Kalwarię Lanckorońską o wysłanie pomocniczej lokomotywy. Po półgodzinnej przerwie jedziemy dalej — ze „wspomaganiem". Pokonujemy kolejne wzniesienia i zakręty, a w wagonach coraz ciszej. Milknie gwar rozmów, już tylko ci najwytrwalsi rozmawiają na korytarzu i przez okna wypatrują białego puchu. A tego jak na złość bardzo mało.

Rozwidniało się gdy dotarliśmy do Nowego Targu. — *Coś dziwnie mała grupa tu wysiadła* — powiedział maszynista i poprosił przez radiotelefon dyżurnego ruchu, by przez megafony ogłosił nazwę stacji. I rzeczywiście, gdy rozległ się komunikat **„Tu stacja Nowy Targ. Witamy młodzież przybywającą na ferie"** z pociągu wysiedli ci, którzy zaspali.

Do Zakopanego przyjechaliśmy z niewielkim, bo tylko półgodzinnym opóźnieniem.

KRZYSZTOF KILIJANEK

Autorem mego portretu jest **Michał Szkaluba.** Zapisuję go do Rzepklubu.

Redaguje WŁODZIMIERZ LEWIŃSKI

Cześć!

Czy bocian, którego widzicie na obrazku obok, zdecyduje się założyć gniazdo w tych warunkach? Wątpię. Jestem pewny, że kwiatki sadzone na wiosnę w klombikach ze starych opon najchętniej uciekłyby gdzie pieprz rośnie. Ogłaszam wiosenne hasło: wyrzućmy tę „nowoczesność" z naszego środowiska! Niech będzie ono naturalne!

★

A propos: kto robi własnym przemysłem budkę lęgową dla ptaków, niech pamięta, że w pomalowanym (nawet na zielono) domku nie zamieszka żaden ptaszek. Odstraszy go odór farby. Największym powodzeniem u ptaków cieszą się domki zrobione z nieoheblowanych desek.

Do zobaczenia! Wasz **Rzep**

RZEPKLUB

Zamieszczone obok żarty rysunkowe wyszperane zostały dla Was przez **Krzysztofa Kołodziejczyka** i **Lidkę Parol** — członków klubu.

— Wszędzie widzisz dzikie gęsi!

NOWE PAPIEROSY!

Zaprojektowała **Ania Krowicka.** Zapisuję ją do Rzepklubu. Konkurs trwa! Rysujcie i malujcie flamastrem lub farbami (nie kredkami!).

rając się stąpać bezszelestnie i nie rzucać swą postacią cienia na jasną powierzchnię łączki.

Po okresie jesienno-zimowym spędzonym w Milwaukee i po wygodnym pobycie w leśniczówce Maksa Granta była to moja pierwsza nocna straż wśród głuszy. Należało ją odbyć tak, jak to wielokrotnie przez lata czyniłem, by nie zawieść zaufania spokojnie śpiącego towarzysza. Dlatego właśnie nie siadłem powtórnie przy ognisku, które choć kusiło swym ciepłem, groziło zdradziecko snem.

Noc wydawała mi się nie mieć końca. Czegoż to nie próbowałem, by nie wpaść w senne odrętwienie! Szczypałem się w policzki, zacierałem dłonie, przyspieszałem lub zwalniałem kroku, starałem się oddychać głęboko, by przywrócić rzeźwość ciału. Gdy na koniec oparłem się o pień drzewa, usłyszałem lekki trzask. Taki, jaki wydaje sucha gałąź, gdy na nią nastąpi noga obuta w ciężki kamasz z cholewką. Bardzo popularny wśród białych myśliwych.

Znieruchomiałem. Cisza. I znowu trzask.

Człowiek wędrujący nocą po puszczy? Taka myśl wydała mi się mało prawdopodobna. Zacząłem podejrzewać, że nocnym wędrowcem jest raczej czworonóg ciężkiej wagi: niedźwiedź, łoś lub karibu.

Trzaski nie powtórzyły się. Na nowo obszedłem skraj polanki, co kilka kroków przystając i nasłuchując. Nic. Cisza.

Spojrzałem w niebo. Gwiazdy już nie błyszczały tak mocno, krótka wiosenna noc najwyraźniej miała się ku końcowi. Zasygnalizował go wreszcie czerwony rąbek zorzy nad koronami drzew, który stopniowo począł sięgać coraz wyżej, aż poróżowiało pół nieba.

Wróciłem do ogniska. Rzuciłem wiązkę suszu na spopielałe szczątki gałęzi, tu i tam błyszczące jeszcze żarem. Po chwili mały płomyk zaczął przeskakiwać z patyka na patyk. Napełniłem kociołek wodą i zapaliłem fajkę. Senność mnie opuściła.

Gdy w kociołku poczęło wrzeć, obudziłem Karola. Wstał natychmiast tak rześki, jakby przespał trzy noce jednym ciągiem.

— Jak tam było, Janie? — zapytał.

Opowiedziałem o nocnych odgłosach i trzaskach.

— Może to rzeczywiście był niedźwiedź lub łoś — potwierdził moje przypuszczenie.

W godzinę później, chłodnym i pięknym porankiem, maszerowaliśmy przez las. Karol — co pewien czas spoglądający na kompas, ja — idący krok w krok za nim, pełen wątpliwości, czy dojdziemy do celu, a jeśli dojdziemy, to kiedy.

Donośny huk strzału przerwał te moje rozmyślania. Zatrzymaliśmy się w pół kroku.

— Ktoś poluje — zauważyłem zbytecznie.

— O, na pewno — żartobliwie przytaknął Karol. — I to wcale nie ten myśliwy, który ustrzelił zająca z łuku.

— Kto wie, kto wie? — wyraziłem wątpliwość. — Nasz łucznik może tu bezpiecznie używać palnej broni. Przecież znajdujemy się o dwa dni marszu od leśniczówki i odgłos strzału na pewno do niej nie dotrze.

— Hm, może i masz rację. Zresztą wkrótce sprawdzimy, kim jest ów myśliwy. Naprzód, Janie!

I poszliśmy. Po jakimś czasie drogę przeciął ciurkający i wijący się między drzewami strumyk. Według mnie ten sam, przy którym spędziliśmy noc. Wyraziłem przypuszczenie, że ów łowca na pewno obozuje w pobliżu wody, a więc bez błądzenia odnajdziemy go posuwając się z biegiem rzeczki. Karol odrzucił moją propozycję argumentując, że kręte koryto zmusi nas do poważnego nadłożenia drogi. Kroczyliśmy więc nadal, zgodnie ze wskazówką kompasu. Strumień rzeczywiście obrał sobie bardzo zawikłany kierunek spływu, bo aż trzykrotnie musieliśmy przekraczać jego koryto, żeby utrzymać się na obranym szlaku. Na koniec za kolumnami drzew błysnęło jaśniejszą zielenią.

— Poczekaj tu, Janie. Pójdę na zwiady.

Powtórzyła się historia poprzedniego dnia, lecz z zaskakująco innym zakończeniem. Tym razem musiałem czekać na swego towarzysza znacznie dłużej niż wczoraj. Już zdecydowałem się ruszyć w jego ślady, gdy w końcu pojawił się między drzewami.

— Chodź! — krzyknął. — Czeka nas miła niespodzianka. Szybko, Janie, szybko!

Cóż to za niespodzianka? Przyspieszyłem kroku. Za ostatnimi drzewami wyłoniła się polana, podobna do tej, gdzie nocowaliśmy, lecz znacznie większa. Pośrodku zobaczyłem szałas z białej kory brzozowej, zbudowany na wzór indiańskiego tipi. Przed tym szałasem snuł się nad ziemią dymek dogasającego ogniska. Przy ognisku klęczał jakiś człowiek. Co robił — nie zdołałem dostrzec. Musiał usłyszeć nasze kroki, bo podniósł się i odwrócił.

Cdn.

BIN BO kontra ZŁOTA GORĄCZKA NETTA

TEKST i RYSUNKI: JERZY WRÓBLEWSKI

ŚWIAT MŁODYCH
WARSZAWSKA GAZETA MŁODZIEŻOWA
UKAZUJE SIĘ OD 1949 r.
Nr 27(4422)
Wychodzi:
wtorki, czwartki i soboty
Nr indeksu 35046
PL ISSN 0137-3214

ADRES REDAKCJI: ul. Mokotowska 24, 00-561 Warszawa. TELEX 81-36-58.

ADRES ODDZIAŁU: ul. Rynek 13, 40-003 Katowice (tel. 53-94-57, telex 0315569).

REDAGUJE KOLEGIUM: **Redaktor naczelny** Stanisław Borowiecki tel. 21-15-61, z-cy red. nacz. Ewa Drobnik i Wanda Kobylecka tel. 29-21-42; **Sekretarz redakcji** Wojciech Wróblewski, z-cy sekr. red Grażyna Szroeder-Bukowska i Lidia Wojciewska tel. 28-25-48; **Kierownicy działów:** Jerzy Dąbrowski (dz. nauki i techniki tel. 28-77-21), Maria Jaworska (dz. szkolno-harcerski tel. 21-47-06), Teresa Maciszewska (dz. kulturalno-literacki tel. 28-77-21), Jan Orgelbrand (dz. krajowy tel. 28-56-18), Zdzisław Przybyłowski (dz. sportowy tel. 21-98-28), Barbara Skórska (dz. listów i łączności z czytelnikami tel. 21-81-13). **Fotoreporterzy** tel. 21-98-28.
Nie zamówionych materiałów redakcja nie zwraca. Ogłoszenia przyjmuje Redakcja Wydawnictw Poradniczych i Reklamy, al. Stanów Zjednoczonych 53, 04-028 Warszawa, tel. 13-20-40 do 49 wewn. 403. Cena ogłoszeń: 350 zł za 1 cm², 150 zł za jedno słowo w ogłoszeniach drobnych. Wpłaty za ogłoszenia od osób fizycznych przyjmowane są na konto: NBP XV OM Warszawa nr 1153-201478-139-11. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.
WYDAWCA: RSW „Prasa-Książka-Ruch", Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, 04-028 Warszawa, al. Stanów Zjednoczonych 53. Telefony: Dyrektor 10-41-22, Dział Produkcji Prasowej 10-66-21. Informacji o warunkach i terminach prenumeraty udzielają wszystkie oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz urzędy pocztowe.
Opracowanie graficzne: Grażyna Klechniowska
Opracowanie techniczne: Grażyna Pajorkowska
Korekta: Maria Marasek
JSP Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego"
Zam. 677/G/88. U-35
Nakład 439 000 egz.

NIE ZAPOMNIJ OTO NASZ POCZTOWY 00-561

UŚMIECH NUMERU

ZWYCZAJNA „towarzyska wymiana zdań" na przerwie.

— Cierpliwością można osiągnąć wszystko! — stwierdza filozoficznie Mądrala.

— Bzdura! — oponuje Iksiński. — Z sitem możesz chodzić po wodę sto lat i wiadra nie napełnisz..!

— Lat może nie, ale zim!? Poczekasz, aż woda zamarznie i po kawałku ją wyniesiesz! Cierpliwość przede wszystkim!

W NOWEJ FUNDLANDII

WIESŁAW WERNIC **22**

Na rozwidlenia kładzie się poprzeczny, możliwie prosty drążek. Z kolei opiera się o ten drążek długie gałęzie. Na nie rzuca się gałązki drobniejsze, mech, trawy, patyczki. Jeśli teraz siądziemy przed ogniem mając za plecami przygotowaną uprzednio ścianę, nie będzie nam dmuchać w kark chłodem, a ciepło ogniska przestanie się rozpraszać. Takie urządzenie pozwala zwycięsko znieść nawet kilkunastostopniowy mróz.

Zabrałem się więc do „pitraszenia". Najpierw wyszukałem dwa płaskie kamienie i przytoczyłem je do miejsca przeznaczonego na ognisko. Postawiłem na nich kociołek z wodą, obłożyłem dokoła chrustem. Płomień buchnął od jednej zapałki. Wtedy zająłem się otwieraniem puszek z nieśmiertelną fasolą oraz krajaniem wędzonego boczku. Przy okazji zbadałem stan naszych zapasów. Okazało się, że starczy tego zaledwie na trzy dni. A co później? Pozostawało polowanie, czego Kąrol pragnął przecież uniknąć.

Gdy woda zabulgotała, odstawiłem kociołek i wrzuciłem doń garść zmielonej kawy. Tymczasem fasola poczęła przyjemnie pachnieć, a boczek skwierczał kapiąc tłuszczem.

— Uczta gotowa! — przywołałem Karola.

Przerwał wykańczanie szałasu. Pomogłem mu potem, za co musiał... zapłacić umyciem naczyń! Tym razem mały to był trud, bo ani kociołek, ani kubki nie były tłuste. Przynieśliśmy jeszcze trochę świeżych, młodych gałązek, by wysłać nimi wnętrze szałasu, i wreszcie zapaliliśmy fajki. Wspaniałe zakończenie dnia! Nad szczytami drzew różowiały już wieczorne zorze. Nabierały intensywności z minuty na minutę, aż powoli zaczęły gasnąć. Wówczas zielony mrok wkroczył w głąb lasu.

— Idziemy spać — ziewnąłem.

— Tylko jeden z nas — beztrosko stwierdził Karol.

Wiedziałem, o co chodzi.

— Ciągniemy patyczki — zadecydował mój towarzysz. — Krótki... do północy, długi... po północy.

To był nasz stary zwyczaj, praktykowany podczas noclegów na niezbyt bezpiecznych terenach. Zawsze wówczas jeden z nas czuwał.

Teraz wyciągnąłem dłuższy patyk, czyli że przypadło mi czuwanie w najgorszej porze nocy. Wbrew twierdzeniu, że najlepszy sen przypada na godziny przed północą — uważam, że najlepiej i najmocniej śpi się przed świtem. Sądzę, że właśnie dlatego Indianie zawsze dokonywali napadów na wroga podczas ostatnich godzin nocy.

Zrezygnowany, nie zwlekając owinąłem się derką, ległem pod szałasową ścianką i natychmiast zasnąłem.

Obudziło mnie, jak zwykle w takich wypadkach, mocne szarpanie za ramię. To „delikatnie" budził mnie Karol. Wygramoliłem się z pledu niczym niedźwiedź z zimowej gawry i pewnie tak samo jak on senny.

Było dość widno, na czarnym niebie błyszczały gwiazdy, a czerwony żar ogniska blado świecił. Karol zajął moje miejsce, a ja z winczesterem w ręce zacząłem swą wartę od obejścia dokoła polanki. Gdzieś w dali pohukiwała sowa. Jakiś szelest doszedł mych uszu, gdy mijałem pobliską sosnę otoczoną wieńcem czarnych teraz krzewów, lecz poza tym nic nie zakłócało nocnego spokoju puszczy. Wróciłem do ogniska, dorzuciłem kilka gałązek, by ogień całkowicie nie wygasł i siadłem z oczami utkwionymi w czarną ścianę boru. Nie minęło pół godziny, a moja głowa poczęła się niebezpiecznie pochylać. Zrozumiałem, że jeszcze kilka minut, a zasnę na siedząco.

Wstałem więc, ukląkłem nad łagodnie bulgoczącym strumykiem, obmyłem twarz i szyję lodowatą wodą. Pomogło. Lecz na jak długo? Wolałem nie ryzykować i raczej odbyć swą wartę chodząc.

Więc chodziłem tu i tam, przeważnie między drzewami, sta-

Dokończenie na str. 7